

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

NUMER 59 styczeń - luty 2007
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł





Zdjęcie do reportażu o bursztynie bałtyckim dla magazynu National Geographic



Kalwaria Zebrzydowska

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dra Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Karnawał ma w naszej kulturze bardzo długą tradycję. Wywodzi się z ludzkiej potrzeby uzewnętrznienia radości i potrzeby odreagowania smutków późnej jesieni i początków zimy. Kiedyś oznaczał zbiorowe zabawy ludu wsi i miast. W ciągu roku większość dni przeznaczona była na pracę, czas odpoczynku wypadał rzadko. Nawet święta oznaczały wówczas przede wszystkim obowiązki - konieczność zastosowania się do wymogów ustanowionych przez wspólnotę, a wynikających z religii, zwyczaju, tradycji.

W miarę rozwoju cywilizacji, nauki i techniki, przybywało nam czasu na odpoczynek, relaks i rozrywkę. Dziś wspólnotowa tradycja nabiera nowych znaczeń w świecie globalnym, gdzie tożsamość grupy czy nacji ustępuje zjawiskom ogólnym, w wyniku czego narodowe tradycje przechodzą ze świata wartości w świat telewizyjnych ciekawostek. Tożsamość globalna polega z grubsza na powszechnym rozumieniu jednego zestawu znaków i symboli. Wszelkie odcienie i odrębności nie są niezbędne dla współczesnej komunikacji społecznej. W przyszłości zaciekawiają co najwyżej pasjonatów i naukowców. Jako nacja powoli zatracamy umiejętność rozumienia nieco dawniejszych tekstów we własnym języku, a ich przesłania mogą co najwyżej stanowić temat rozmów dla zebranych przy kawiarnianych stolikach profesorów.

Futurologi przewidują, że za lat sto język polski nie będzie już powszechnie funkcjonował. Wynika to z dominujących tendencji w rozwoju społeczeństw. Dawniej język, tradycja, podobnie jak religia albo strój, były wyróżnikiem grupy, pozwalały czuć się u siebie i wśród swoich. Dziś chodzi o to, żeby było nam łatwiej porozumiewać się między sobą – w świecie. Za sto lat wszyscy będziemy mówili wspólnym językiem, europejskim czy może ogólnoswiatowym. Będzie to język prosty i komunikatywny, oparty prawdopodobnie o podstawy angielskiego. Języki narodowe nie będą potrzebne; może tylko dla wspomnianych profesorów – w każdej społeczności istnieje grupa nawiedzonych.

Kiedy Kolumb wypływał z Palos, na pokładach jego karawel znajdowali się także naukowcy. Uczni, co na najlepszych europejskich uniwersytetach zgłębiali latami tajniki języków wschodnich. Ale gdy wyprawa dotarła do lądu okazało się, że autochtoni mówią tak dziwnie, że europejscy specjaliści od języków nic nie mogli zrozumieć. I doszli do jedyne go możliwego w tych okolicznościach wniosku: tubylcy nie znają swoich własnych języków. Za tą konstatacją poszły dalsze wnioski - mieszkańcy Kitaju nie wyglądają tak, jak wyglądać powinni, nie ubierają się tak jak powinni etc. Długo nie przychodziło do głowy uczonym przybyszom, że to oni się mylą, zaś Kitaj nie jest Kitajem tylko nowym lądem, nazwanym później Ameryką.

Chyba nie zatraciliśmy jeszcze poczucia wspólnoty i wspólnego języka. W wielu krajach świata mieszkają ludzie mniej lub bardziej związani z Częstochową. Niektórzy z nich regularnie czytają „Aleje 3”. Z sentymentu, z ciekawości, może z innych powodów. Nie przesadzamy, kto jest autochtonem, kto odkrywca. Cieszymy się rosnącą popularnością; także w internecie - liczba odwiedzin sięgnęła w minionym roku dziesięciu tysięcy. To bardzo dobry wynik, szczególnie dla pisma o charakterze kulturalnym, niszowego, a według niektórych zupełnie niepotrzebne go.

Marian Piotr Rawinis

SZCZEROŚĆ FOTOGRAFII

z fotografikiem Jacentym Dędkiem
rozmawia Janusz Mielczarek

Jacenty Dędek, urodzony w Częstochowie, rocznik 1966, zodiakalny Rak. Mimo zakosztowania chleba w różnych zawodach, od młodzieńczych lat pochłonięty fotografią. Pracował w kilku częstochowskich redakcjach. Od 2001 roku stały współpracownik „National Geographic” oraz kilku innych magazynów. Rozmawia z nim Janusz Mielczarek - częstochowianin, rocznik przedwojenny, zodiakalny Bliźniak. Fotografik, dziennikarz.

Jak mam się do Ciebie zwracać: Jacek czy Jacenty? Nigdy nie mam pewności. I skąd u Ciebie to nietypowe w naszych czasach imię?

Wszystko za sprawą pani z USC. Gdy mój tata, szczęśliwie obdarzony przez mamę synem, poszedł ten nadzwyczajny fakt zgłosić do urzędu, prosząc, aby wpisano mi do aktu urodzenia imię Jacek, pani urzędniczka zaprotestowała. Wedle jej wiedzy, Jacki nie istniały, mógł być tylko Jacenty, i tak zostało. W szkole byłem Jackiem, później coraz częściej pojawiał się Jacenty, którego polubiłem i dzisiaj cenię go sobie coraz bardziej.

Zaczynając tę rozmowę, nie mogę nie wspomnieć świętej pamięci Kazimierza Maciejowskiego, instruktora i animatora fotografii, któremu liczne grono częstochowskich fotografujących starszego i średniego pokolenia ma wiele do zawdzięczenia. W połowie lat 90., w czasie jednej z giełd fotograficznych odbywających się wówczas w Częstochowie w lokalu PTTK, powiedział: „To skandal, żeby tak zdolny chłopak, jakim jest Dędek, zamiast pracować w fotografii, popychał taczki z wapnem na budowie”.

Pod koniec lat 80. chodziłem na zajęcia koła fotograficznego przy ul. Okólnej, które w ramach działalno-

ści kulturalnej Spółdzielni Mieszkaniowej „Nasza Praca” prowadził pan Kazimierz Maciejowski. Polubiliśmy się. Dzięki niemu poznałem wiele sekretów fotograficznej kuchni. Bardzo potrzebowałem czyjś krytycznego spojrzenia na robione przeze mnie zdjęcia, a pan Kazimierz był w tym niezastąpiony. Tam też na zajęcia przyszła któregoś popołudnia filigranowa dziewczyna o imieniu Kasia, która później została moją żoną. Tak więc sentyment do tamtego miejsca, pana Kazimierza i czasu jest wielowymiarowy.

A taczki?

Próbowałem różnych zawodów. Pracowałem na budowach, współpracowałem z konserwatorami zabytków, byłem ślusarzem narzędziowym w „Metalpląście”. Jestem chemikiem z wykształcenia i na pewien czas zahaczyłem się również w ochronie środowiska. Pracowałem



Fot. Janusz Mielczarek

w terenie i lubiłem tę pracę. Cokolwiek jednak robiłem, starałem się oglądać dobre zdjęcia. Wertowałem zachodnie magazyny z reportażami najlepszych fotografów. Analizowałem starannie poszczególne fotografie.

Twoje zdjęcia wciąż jednak lądowały w szufladzie.

Niezupełnie. W latach 1991-1994 pracowałem najpierw w tygodniku „Gazeta Częstochowska”, a następnie w dzienniku „24 godziny - Dziennik Częstochowski”. Redakcyjne wynagrodzenia były skromne, a ja miałem już rodzinę na utrzymaniu. Znowu wróciłem do budownictwa.

Na szczęście nie na długo.

Sprawił to przypadek. Od Janka Pawlikowskiego dowiedziałem się, że w Częstochowie organizowany jest oddział katowickiego „Dziennika Zachodniego”. Spróbowałem, dostałem etat i przetrwałem w tej redakcji blisko 6 lat. Pracując dla bieżących potrzeb gazety, starałem się wygospodarować czas na reportaż, bo on był dla mnie najważniejszy. Kiedy robiłem jeden z nich, zdarzyła się sytuacja, przy której musiałem zadać sobie kilka zadań do przemyślenia.

Cóż to było?

Towarzyszyłem z aparatem fotograficznym aktowi odebrania dzieci matce pozbawionej sędownie praw rodzicielskich. Dramatyzm sytuacji odczuwali wszyscy, łącznie z policjantami, a ja fotografowałem. Mocno to przeżyłem. Jednym z najważniejszych pytań było: jak fotografować takie sytuacje, aby nikogo nie ranić?

Fotografia społeczna, jak ją nazywasz, tak ważna dla Ciebie, spełnia również funkcję bardziej optymistyczną. Przykładem tego jest Twój wzruszający reportaż „Świat w zasięgu ręki”, nagrodzony na Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej w roku 1998.

Ten reportaż zrodził się z podziwu dla niewidomej dziewczyny, która samodzielnie zajmowała się swoim dzieckiem. Ta kobieta pokonywała bariery trudne często dla osób widzących. Od tamtej pory bardzo bliski jest mi ten rodzaj fotograficznej opowieści, eseju, choć zapotrzebowanie nań jest niewielkie.

Pozostawałeś wierny jednej redakcji?

Nie. Obok pracy redakcyjnej wytyczałem sobie boczną uliczkę prowadzącą do współpracy z kilkoma

magazynami podróżniczymi, gdzie zamieszczałem od czasu do czasu zdjęcia. Jeździłem robić reportaże. Wciąż się uczyłem, bo chciałem być coraz lepszy.

I tak krok po kroku udało Ci się dojść do współpracy z tak elitarnym i wymagającym światowym tytułem, jakim jest „National Geographic”.

To dłuższa historia. Z „National Geographic” zetknąłem się na początku lat 90. u koleżanki, która wróciła z Australii, przywożąc egzemplarze niedostępnego wtedy u nas magazynu. To był dla mnie zwrot w myśleniu o fotografii. Wiedziałem wówczas, jak chcę fotografować, czego poszukiwać, brakowało mi jeszcze umiejętności.

Ale kilka lat później...

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że moje portfolio obejrzał waszyngtoński dyrektor departamentu fotografii „National Geographic” – Kent Kobersteen. Ważny był dla mnie dzień, w którym otrzymałem od niego obszerny list potwierdzający zbieżność charakteru moich zdjęć z prezentowanymi w magazynie. Była tam również zachęta do współpracy z polską redakcją pisma, którą wówczas dopiero organizowano. Na wiosnę 2001 roku otrzymałem propozycję przygotowania reportażu o Cieszynie.

Twój debiutancki reportaż w „National Geographic” to tylko lub aż siedem fotografii. Za nim przyszedł większy i bardziej złożony temat związany z oddaniem po 20 latach rekonstrukcji, w Carskim Siole – letniej rezydencji carów pod Sankt Petersburgiem – „Bursztynowej Komnaty”.

To wymagało sporo czasu, w redakcji „Dziennika Zachodniego” nie mogłem otrzymać urlopu, a ponieważ w zasięgu ręki pojawiło się coś, na co czekałem, więc po raz kolejny zacząłem pracować na własny rachunek. Bursztynem interesowałem się wcześniej, miałem już kontakty z pracującymi przy nim ludźmi, znałem miejsca jego poszukiwań, ale Komnata była wątkiem nowym. Zbierałem informacje z wydawnictw, z internetu. Poszerzyłem krąg znajomych rzemieślników – artystów tworzących z bursztynu precjoza najwyższej próby. Pomagali mi w różnych sytuacjach. Dzięki jednemu z nich, panu Gierłowskiemu z Gdańska, mogłem przekroczyć zamknięte dla innych bramy uważanego za rosyjski obiekt strategiczny Kombinat Bursztynowego w Jantarnym koło Kaliningradu. Wydobywanie prowadzi się tam metodą odkrywkową. Stałem się człowiekiem z polecenia, a więc bardziej godnym zaufania.

FOTOGRAFIA

Dodam przy okazji, że w czasie oblężenia Leningradu (dzisiejszego Sankt Petersburga) w roku 1941 położone około 15 kilometrów od przedmieść miasta Carskie Sioło zajmowali już Niemcy. Część pałacu była zniszczona, a znajdujące się tam skarby, w tym Bursztynową Komnatę, wywieziono. Położone na parterze pomieszczenia pałacowe zamieniono na stajnie dla koni kawalerzystów Wehrmachtu.

W czasie rekonstrukcji tego skarbu posługiwano się głównie starymi czarno-białymi fotografiami, których rozpracowaniem zajęli się ... kryminolodzy. Udało się rewelacyjnie. Potrafili bardzo precyzyjnie określić grubość ścian, systemy łączenia i inne niuanse. Ten reportaż dał mi przy okazji wiedzę trudną do zdobycia gdziekolwiek indziej.

Jacenty, Twoje przygotowania do kolejnych penetracji reporterskich są bardzo wszechstronne i precyzyjne. W ten sposób zdobywasz prawie nowe zawody.

Oczywiście, przesadzasz. Było mi jednak przyjemnie, gdy w czasie realizacji reportażu o miodzie ludzie z branży traktowali mnie jak swojego, który ma gdzieś ule i zajmuje się tymi niezwykłymi owadami.

Jak to zrobiłeś?

Poznawałem zachowanie się pszczół w ulu i poza nim. Uczyłem się gwary pszczelarzy, zwyczajów, poznawałem narzędzia, jakimi się posługują. Aby zrobić ten reportaż, z którego 15 fotografii znalazło się w „National Geographic”, przejechałem kilka tysięcy kilometrów: od Dolnego Śląska po Mazury i Suwalszczyznę, od Małopolski po Puszcze Białowieską i Pomorze. Miałem nawet swój strój pszczelarza. Znowu spotkałem wielu interesujących ludzi i ciekawe miejsca. Między innymi, koło Bolesławca w Borach Dolnośląskich, gdzie kiedyś był poligon wojskowy, stąpałem po największych w Europie kontynentalnej wrzosowiskach. Zbierany tam miód posiada jeden z nielicznych polskich znaków produktu regionalnego nadany przez Unię Europejską.

Ile czasu zajmuje Ci realizacja reportażu?

Od dwóch, trzech tygodni do pół roku, a nawet więcej. Jednym z przykładów niech będzie ostatni, publikowany w „National Geographic”, o kopalni

solu w Wieliczce. Zacząłem go robić jesienią 2005 roku, a ukazał się rok później. Po wielokrotnych pobytach w tym nadzwyczajnym miejscu uważałem, że w reportażu powinno znaleźć się zdjęcie z balu sylwestrowego.

W kopalni?

Tak. Odbywa się on z należytą pompą w sali balowej urządzonej w jednej z komór o nazwie „Warszawa”. Nie mogłem tego pominąć. Spakowałem się i pojechałem.

Żeby zrobić to jedno zdjęcie? Żona nie miała żalu, że nie jesteście w tym dniu razem?

Może nawet miała, ale głośno mi o tym nie powiedziała. Ona to po prostu rozumie. Gdyby tak nie było, pewnie musiałbym zmienić profesję.

Czy jesteś przekonany, że dzięki takiej pracy, więcej – filozofii, jaką przyjąłeś i w której kręgu funkcjonujesz, Twoje zdjęcia są lepsze, bardziej przemawiają do odbiorcy?

Każdy ma swój odmienny sposób postępowania. Mnie odpowiada taki właśnie i sądzę, że jest także korzystny dla efektu końcowego mojej pracy. Co nie znaczy, że nie dopadają mnie chwile słabości i zwątpienia. Bywa też, że czuję się jak kierowca tira, gdy gnam autem kilkaset kilometrów dla zrobienia jednej fotki, bo tak to sobie umyśliłem, choć wcale nie mam pewności, że zrobię tę fotografię, a jeżeli tak, to czy będę z niej zadowolony, i czy w ogóle znajdzie się ona w reportażu. Ręce i nogi często się buntują, ale głowa jest w tej drużynie najważniejsza. Pamiętaj również, że realizuję swoje marzenia, a one – jak wszystko – też mają swoją drugą stronę. Ocena rezultatów mojej pracy pozostawiam innym.

Ścigasz się po nagrody?

Nie myślę o tym fotografując. Najbardziej cenię sobie nagrodę w Konkursie Newsreportaż w roku 2005 w kategorii „Życie codzienne” za reportaż „Chorzy na Alzheimera i ich opiekunowie”. Były też inne.

Dżentelmeni podobno nie rozmawiają o pieniądzach, ale czy nie mógłbyś zdradzić, jak się Twoja praca przekłada na honoraria?

Polska edycja „National Geographic” funkcjonuje w polskich realiach, dlatego honoraria w niej

otrzymywane tak się mają do tych z edycji na przykład amerykańskiej, jak poziom życia tam i u nas. Będę nieco przewrotny i powiem, że wiele osób chciałoby gratisowo współpracować z tym pismem. Poza tym zamieszczałem również fotografie w „Voyage”, „Przekroju”, „Dużym Formacie”, „Polityce”, „Wprost”, „Przeglądzie”, „Kalejdoskopie” i paru innych tytułach.

Zdarza się, że pracujesz z żoną. Nawet jeśli nie bezpośrednio, to ona jest Twoim pierwszym recenzentem i doradcą.

Często zabieram ją z sobą. Obecność kobiety zwykle łagodzi klimat spotkań, wzbudza zaufanie. Dotyczy to zwłaszcza fotografowania dzieci. W tym roku zrealizowaliśmy wspólnie tematy z Czechach i na Węgrzech, spędzając przy okazji razem dwa tygodnie. Odkryliśmy także dla siebie nieznaną wcześniej fascynującą stronę Sudetów. Okazało się, że miejsca znane nam z turystycznych wędrówek mają frapującą historię, spotkaliśmy też wielu ciekawych ludzi. Żona jest moim pierwszym i bardzo surowym recenzentem. Nie zawsze się zgadzamy, ale jej wybory pokrywają się często z wyborami redakcji. Na początku trudno było mi się z tym pogodzić, upierałem się, polemizowałem. Czasem ja usuwałem jakieś zdjęcie, które ona chciała pozostawić. Przeważnie miała rację. Teraz, nie przestając się spierać, selekcję robimy wspólnie.

Zamieszkaliście razem na Stradomiu w domu, który jest wciąż jeszcze w stanie remontu. Czy myśleliście o przeprowadzeniu się do Warszawy bądź Krakowa, gdzie jest wiele wydarzeń, którymi karmi się fotografia reportażowa, jaką głównie uprawiasz?

Rozważaliśmy to. Żona namawiała do przeprowadzki. Można było sprzedać dom odziedziczony po rodzicach i dziadkach, a ciągu wielu lat dewastowany przez lokatorów z nadania ludowej władzy, i byłoby po kłopotach. Na szczęście, głównie przez mój sentyment do tego miejsca, tak się nie stało. Ciężko pracowaliśmy, żeby dało się w nim zamieszkać. Wciąż coś majstrujemy, niedawno wymieniliśmy dach. Trudno jest mieszkać i jednocześnie remontować dom, w którym od lat nic nie robiono. W ten sposób staje się on jednak bardziej bliski, to nasz „zamek” i w nim jest nam najlepiej. Ja źle się czuję w dużych miastach.

Na początku grudnia minionego roku wróciłeś z dziesięciodniowego pobytu reportażowego w Ja-

ponii, ale zaraz gdzieś popędziłeś dalej. Jak udało się Twój pierwszy tak daleki wyjazd?

To było coś zupełnie nietypowego. Od redakcji magazynu „Świat Siatkówki” otrzymałem propozycję obsłużenia fotograficznie pamiętnych dla Polaków mistrzostw świata w siatkówce rozgrywanych w Japonii. Z walki sportowej, którą fotografowałem, najbardziej przeżyłem mecz Polska – Rosja. Nie wiem, jak to wyglądało w przekazie telewizyjnym, ale tam, na miejscu, gdzie wszystko rozgrywało się kilkanaście metrów ode mnie, emocje były niewyobrażalne. W porach poza meczami starałem się możliwie dużo zwiedzić, zobaczyć i fotografować. Spałem po kilka godzin na dobę, żeby dotrzeć do jak największej ilości ciekawych miejsc. Wielkie wrażenie robi Tokio. Miasto - gigant, funkcjonujące w kulturze zupełnie odmiennej od naszej. Są w nim miejsca, gdzie życie toczy się na pięciu poziomach, licząc dwa poziomy metra i trzy nad ziemią. Tempo i wielka ilość ludzi sprawia, że trudno się czasem zorientować, gdzie się człowiek znajduje. Koniecznie muszę poszerzyć swoją wiedzę o tym niezwykłym kraju, a potem starać się pojechać tam ponownie.

Czy Twój ostatni wyjazd jest zapowiedzią kolejnych dalekich podróży z kamerą fotograficzną?

Nic nie mówię, żeby nie zapeszyć, choć nie jestem przesądny.

A propos kamery, czym fotografujesz?

To cyfrowy Nikon D 2x z dobrą optyką. Właśnie przed wyjazdem do Japonii nabyłem „szkiełko żyłete”, nikonowski zoom 70-200mm ze światłem 2,8 i redukcją drgań.

Jacenty, spodziewałem się, że ta odbywana na raty rozmowa, do której przymierzaliśmy się przynajmniej od dwóch lat, będzie dla mnie ciekawa i poruszy moje utajone tęsknoty fotograficzne. Nie sądziłem jednak, że od Ciebie, osoby skromnej, powściągliwej w słowach, przemykającej się raczej ścieżkami drugiego planu, dowiem się tak wiele o Twojej pasji, o mądrej i pięknej chorobie snucia niezwykle rzetelnie i z talentem – fotograficznej opowieści o świecie i ludziach. A przy tym rodzi się osobisty żal, że brak mi już czasu na to, aby spróbować zrobić coś podobnie jak Ty. Dziękuję za rozmowę.

Janusz Mielczarek

DRUGA ODSŁONA

Regionalnej Kolekcji Sztuki Współczesnej
ciąg dalszy

Program „Znaki Czasu” w częstochowskiej Zachęcie realizowany jest od chwili jej powstania w czerwcu 2005 roku. Pierwszą wystawę Kolekcji przedstawiono szerokiej publiczności 27 maja 2006 roku w Muzeum Częstochowskim. W nowowyremontowanych salach ratusza prace 18 autorów uzyskały wielkie uznanie w oczach miejscowej i zewnętrznej krytyki.

Kolekcję tworzy zwykle zbiór dzieł - dla nas pewna znacząca reprezentacja najważniejszych artystycznych tendencji możliwych do oznaczenia w przestrzeni i obszarze czasowym ostatnich trzydziestu lat sztuki polskiej. Tych kilka ważnych obszarów naszej rodzimej sztuki, to przede wszystkim sztuka krytyczna dotykająca przestrzeni społecznej z jej bolesnymi uwarunkowaniami,

poszukująca kulturowej tożsamości różnych społeczności. Sztuka, która także ujawnia wszelkie traumy, niegodziwości i mechanizmy działań politycznych czy religijnych różnych grup nacisku. Inny obszar, to przestrzeń relacji pomiędzy jednostką a zbiorowością, z jej presją na wolność, autonomię i osobność każdego człowieka. Następny ważny obszar, to indywidualna osobista wewnętrzna przestrzeń artysty, jego wyobraźni oraz oryginalnego języka sztuki. Innym jeszcze obszarem będzie również artystyczna przestrzeń tradycji, symboliki i odniesień kulturowych współczesności w powiązaniu z historią, obszar precyzowany jako aktualny dialog z wartościami bezcennymi dla wszelkiej sztuki.

Częstochowska Zachęta, podobnie jak inne regiony, buduje swoją kolekcję w oparciu o indywidualnie wypracowane strategie zakupów. Dla nas istotą jest selekcjonowanie i ocenianie najważniejszych zjawisk występujących w sztuce polskiej w kontekście przede wszystkim naszego regionu, na tle całości aktualnych artystycznych dokonań – ważnych, aktywnych indywidualności twórczych w Polsce. Nasza Kolekcja



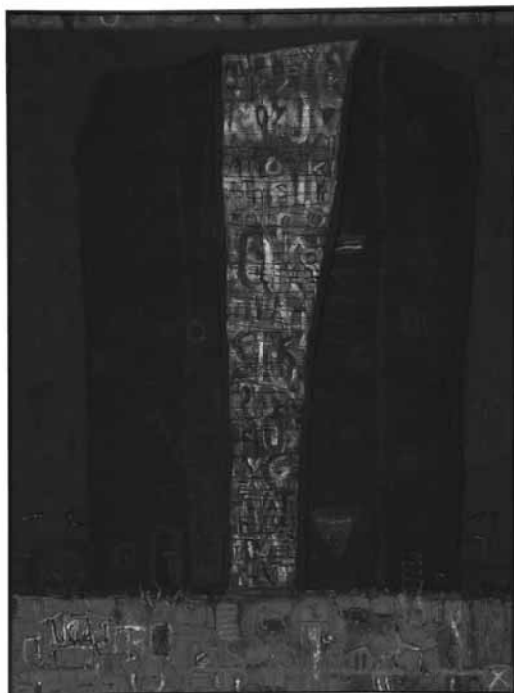
Łukasz Korolkiewicz – *Autoterapia*

staje się, zgodnie z zaproponowaną przez Komisję Zakupów, kolekcją sztuki nie tylko aktualnej, nie tylko realizowanej współcześnie, ale komentującą tę współczesność. Kolekcja związana jest silnie z lokalnym życiem artystycznym i dla naszego środowiska artystycznego jest poważną próbą osadzenia własnych dokonań w ciągle otwartym spektrum różnorodnych zjawisk artystycznych ostatnich czasów. Konfrontując Kolekcję zebraną w Częstochowie z innymi regionalnymi kolekcjami Zachęty, możemy być przekonani, że kryteria przyjęte przez Komisję Zakupów są trafne, a nowe nabytki stanowią bardzo interesujący i zarazem różnorodny zbiór sztuki o reprezentatywnych walorach.

W katalogu do Pierwszej Wystawy Kolekcji Małgorzata Kasprzycka pisze: „Z punktu widzenia krytyki i historii sztuki powstawanie ośrodków inicjujących żywy dialog z niezrozumianą, bo trudną w odbiorze kulturą przełomu XX i XXI wieku, jest rzeczą konieczną”. Można i trzeba przychylić się do tej istotnej konstatacji. To właśnie Kolekcja Zachęty, tworzona w ramach Narodowego Programu Kultury „Znaki Czasu”, jest szansą na dialog, współpracę, ogniskowanie się rodzimych artystów dla realizacji różnorodnych projektów i działań na rzecz wzmocnienia Częstochowy i jej kulturowych szans oraz następnych możliwości podejmowania narodowych programów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Następne programy pomogą utrwalić tak już poważny dorobek i oddziaływanie Częstochowy jako ośrodka artystycznego.

Nieco inaczej widzi rolę Kolekcji prezes Zachęty Piotr Głowacki, który m.in. stwierdza: „Nasza Kolekcja będzie oryginalnym fragmentem i stałym punktem odniesienia sfery życia artystycznego w naszym mieście i regionie. Będzie kapitalną możliwością kontaktu z najnowszą, ale i bardzo kunsztownie kreowaną częścią polskiej sztuki i kultury.” Te istotne deklaracje a zarazem konkretne działania i fakty kulturowe stanowią o randze częstochowskiej kolekcji.

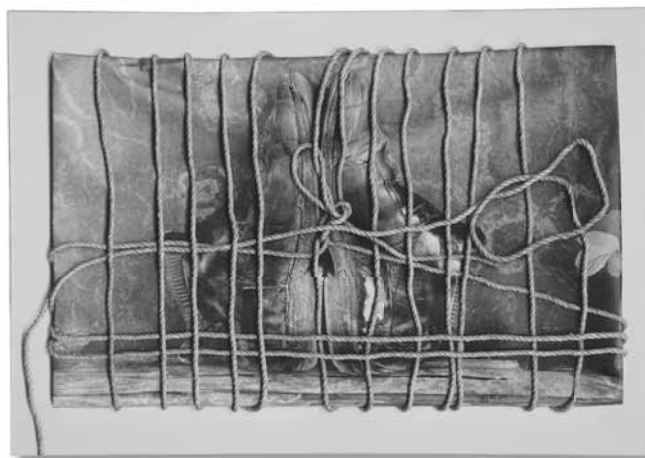
Pod koniec 2006 roku zakupiono szereg znaczących dla zbioru prac. Najważniejszy nabytek to



Włodzimierz Kulej – *Słowo*

bez wątpienia obraz Łukasza Korolkiewicza „Autoterapia” (1995, olej na płótnie), który nie tylko swym wielkim formatem ale przede wszystkim artystycznym oddziaływaniem może stanowić chlubę i ozdobę każdego programu zakupów. Świetną pracę uzyskaliśmy od Włodzimierza Kuleja – „Słowo” obraz z cyklu „Przestrzenności indywidualne”, który jest bez wątpienia jednym z najlepszych dzieł artysty. Zakupiono także od rodzimych twórców inne znaczące prace malarskie i rysunkowe, m.in.: od Sabiny i Romana Lontych, Beaty i Włodzimierza Karankiewiczów, Andrzeja Desperaka. Z innych nabytków ubiegłego roku przywołać trzeba reprezentatywne dzieła Andrzeja Dudka Dürera, Marka Sobczyka, Stanisława Tabisza, Tadeusza Boruty, Pauliny Karpowicz oraz Mikołaja Kasprzyka. Po tych zakupach nasza Kolekcja jest już znaczącym, wybitnym zbiorem, mimo że nie reprezentuje jeszcze wszystkich ważnych obszarów sztuki wymienionych na wstępie. Koniecznym wydaje się zakup prac od takich artystów jak Krzysztof Wodiczko, Zbigniew Libera,

Andrzeja Dudka Dürera, Marka Sobczyka, Stanisława Tabisza, Tadeusza Boruty, Pauliny Karpowicz oraz Mikołaja Kasprzyka. Po tych zakupach nasza Kolekcja jest już znaczącym, wybitnym zbiorem, mimo że nie reprezentuje jeszcze wszystkich ważnych obszarów sztuki wymienionych na wstępie. Koniecznym wydaje się zakup prac od takich artystów jak Krzysztof Wodiczko, Zbigniew Libera,



Andrzej Dudek Dürer – *Sztuka Butów... po 30... Związane B*

Grzegorz Klamana, Jarosław Modzelewski, Krzysztof Skarbek, a z młodego pokolenia Rahim Black czy Maciej Kozłowski. Czekamy na dalszy ciąg Narodowego Programu Kultury „Znaki Czasu” w Częstochowie.

Marian Panek

Jerzy Pogorzelski

poszukiwanie kamienia filozoficznego

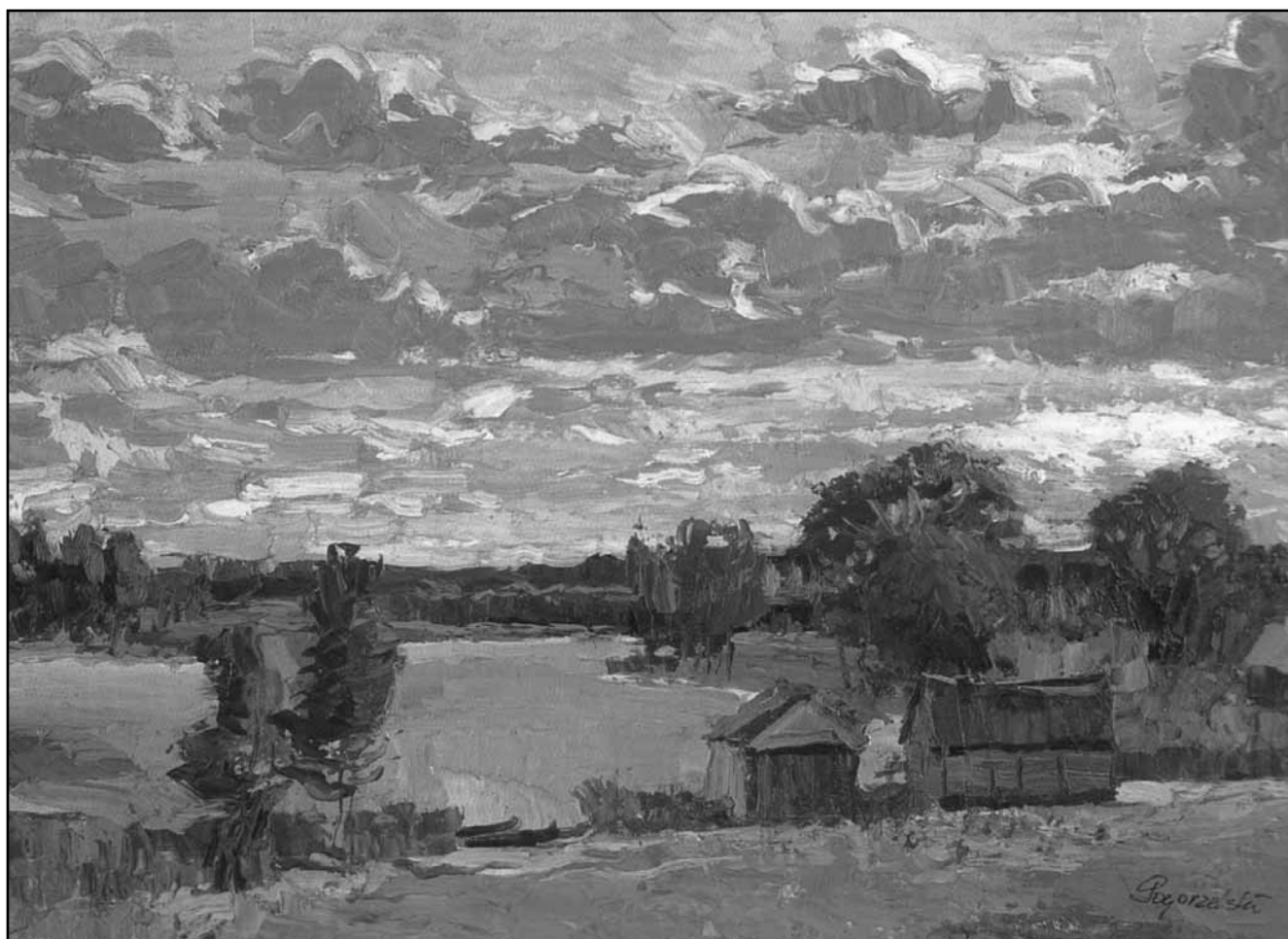
Jurek Pogorzelski był wyrafinowanym rozmówcą. Nie cierpiał sztuki abstrakcyjnej czy nieprzedstawiającej i miał swoich sto argumentów – o wyższości realizmu. Zawsze odwoływał się do natury. Wszystko próbował naturą uzasadnić i tłumaczyć. Wiedząc, że mam do weryzmu w sztuce pewien dystans, podejmował ze mną długie rozmowy na temat realizmu i jego roli w historii sztuki i generalnie malarstwa. Było jasne, że pierwszą wielkością dla niego byli Riepien, Szyszkina, Lewitan, Ajwazowski, którymi się zachwycił. Autorytetem, podporą duchową w każdym czasie – Stanisławski i Fałat. Myślę, że rozumiał i akceptował Picassa tylko do okresu różowego włącznie. Był zawsze spontaniczny, opowiadał szczerze o swoich artystycznych i nieartystycznych sukcesach.

Miałem okazję dwa razy być uczestnikiem tego samego pleneru malarskiego na Jurze Krakowsko-

Częstochowskiej. Jurek był zwykle duszą towarzystwa. Zabawny, dowcipny, rozgadany, ale też niezwykle pracowity – idący w plener szarym świtem i o każdej porze dnia.

Dr Aleksander Jaśkiewicz we wstępie do albumu towarzyszącego wystawie „Pamięć i obraz. Jerzy Pogorzelski, malarstwo i rysunek” pisze: „Zależało mu na bezpośrednim i bliskim kontakcie z odbiorcą, któremu miał do zaoferowania własne bardzo poruszające widzenie natury” i taka była prawda. Jurkowi sprawiało największą satysfakcję, kiedy fani jego twórczości i kolekcjonerzy zjawiali u niego odpowiednie tematy i obrazy. Prawdą również jest i to, że jak trafnie zauważa Jaśkiewicz „dla uświadomienia wartości, które starał się intuicyjnie przekazać, operował właściwymi sobie środkami plastycznymi. Jednym z nich był jasny dźwięczny kolor. I choć czasem jego nazbyt mocne natężenie próbował okiełznać, to na ogół próby takie były nieskuteczne, inaczej po prostu nie potrafił posługiwać się barwą”.

W mojej opinii, Pogorzelski był w swym malowaniu bardzo wyrazisty i ekspresyjny. Pokazywał w obrazach swoje wrażenia, doświadczenia, przeżycia, również te pozamalarskie. Obcując z naturą pej-



zażu, potrafił wydobyć jego urodę i zawarty w nim estetyczny, zrytmizowany porządek. Tworzył kompozycyjną strukturę malarzkiego przekazu przestrzeni pleneru z wielką wprawą i techniczną sprawnością.

Pogorzelski miał łatwość malowania, a właściwie ciągłą gotowość, która była jego siłą, ale też i pewną słabością. Był bez wątpienia entuzjastą koloru i pierwszego wrażenia.

Kochał impresjonistów za ich magiczną siłę przenoszenia widza w inny duchowy i materialny wymiar rzeczywistości sztuki. W swojej artystycznej drodze był jednoznacznie konsekwentny, jego głównym tematem okazywał się ciągle, w różnych wydaniach, realistycznie traktowany pejzaż. Malował czasami także portrety – bardzo prawdziwe, nieinscenizowane, realistycznie siermiężne, osobiste, bardzo różniące się od jego wyobrażeń kipiącego kolorem polskiego krajobrazu.

Większość swoich plenerowych obrazów poświęcił okolicom Częstochowy. Pewne elementy tego krajobrazu już się przewartościowały lub zostały wyrugowane – pozostały tylko na obrazach. Dotyczy to starych młynów, mostków, zabudowań wiejskich zagród, zakoli i rozlewisk rzecznych Warty, Liswarty czy Stradomki. Próbował malować również kwiaty, ale myślę, że była to jednak jego pięta Achillesowa. Jednoznaczny kolor kwiatów nie dawał mu zbyt wielu szans na tak zwane podbicie zestawień kolorystycznych w obrazie.

Patrząc na całość twórczego dorobku, trzeba podkreślić emocjonalność wszelkich poczynań Pogorzelskiego, która wyrażała się m.in. Wielkim temperamentem uderzeń i śladu pędzla czy szpachli, na powierzchni



podobrazia malarzkiego. Natomiast orkiestracja koloru daje kompozycjom pejzażowym pewien muzyczny wymiar, harmonię wysokich malarzskich dźwięków. Nie czuje się tu fałszywych tonów. Materia obrazu jest płynna, pełna ruchu, dynamizmu, wewnętrznej ekspresji, nasycenia kontekstem kolorystycznym i walorowym. Mistrzowskie jest symultanicz-



ne dozowanie napięć kolorystycznych w układach kompozycji. Czuje się tu odwagę, otwartość, świeże spojrzenie, pewność ręki artysty. Jurek Pogorzelski poszukiwał w naturze swego kamienia filozoficznego, kamienia przemian, transmutacji rzeczywistości w obraz malarzski.

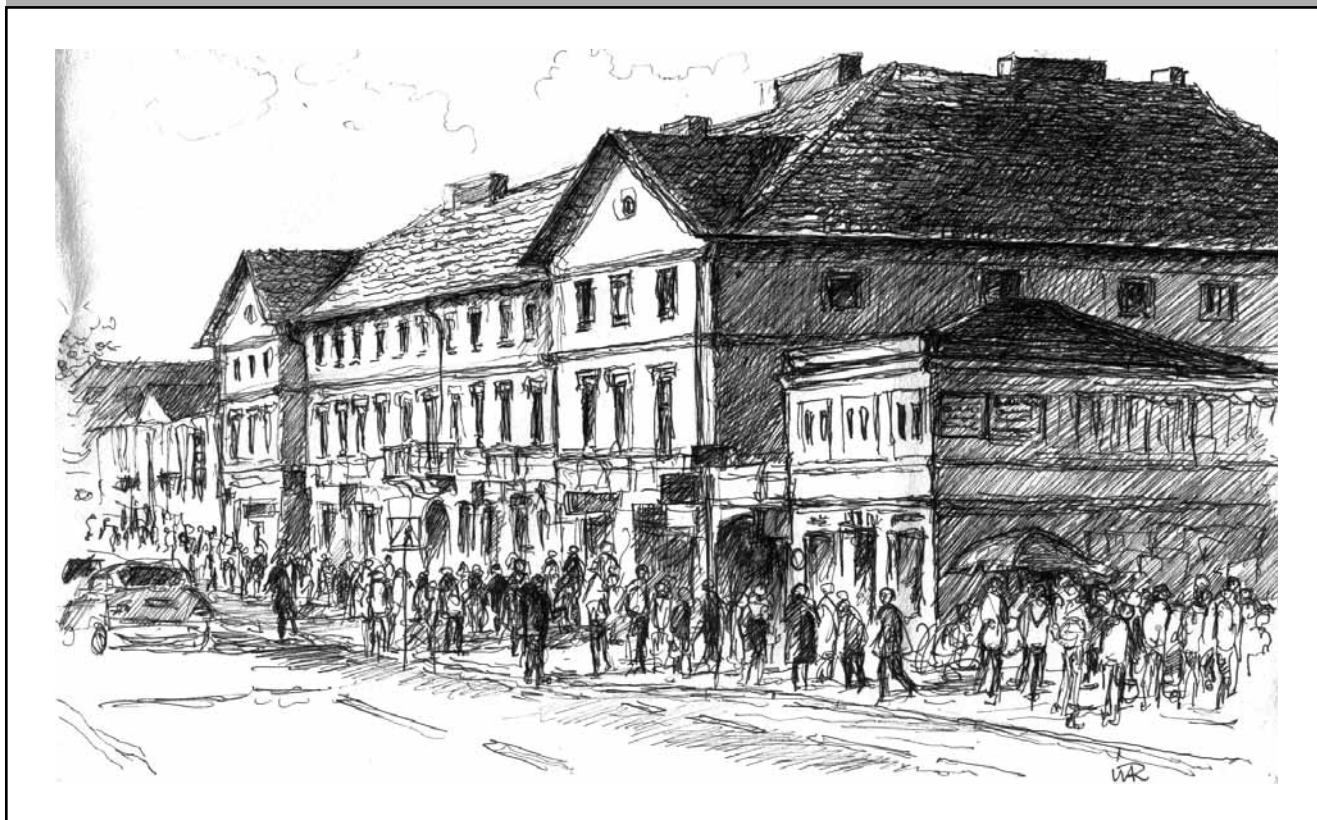
Marian Panek

Drzwi do lasu

Władysław Ratusiński

W II Alei Najświętszej Maryi Panny zabytkowy dawny zajazd, zbudowany po roku 1850, tworzy wyjątkowo malowniczy zakątek miasta. Stojący obok głównego obiektu mniejszy budynek (mieści się w nim znany sklep "Union") - z wdziękiem uzupełnia całość kompozycji. Niestety, niektórzy u nas nie odznaczają się chyba zbyt wyrafinowanym gustem, skoro uparcie chcą ów skromny, dyskretnie zdobiony, domek przysłonić. Plany przebudowy rynekczku na Wałach Dwernickiego wiążą się z budową zadaszenia oraz bramy od strony Alei. Na szczęście realizacja planów się opóź-

nia. Taka sztuczna brama w tym miejscu zniszczy widok na jeden z najładniejszych obiektów w Alejach. Można by ją ewentualnie zbudować, ale w głębi, za zajazdem, aby nie zakłócać owego pięknego widoku, nie niszczyć klimatu miejsca. Przecież najlepiej byłoby uliczkę przy zajeździe wybrukować kocimi łbami (są pod asfaltem), a stoiska przy ścianie budynekczku - nakryć markizami. Nie wolno interesów i gustów kilku handlujących przedkładać nad wartości zabytkowe, historyczne, estetyczne, wartości kulturowe, które są ważne dla całego miasta, a także przybywających licznie gości. Nie powinno się bezmyślnie niszczyć dziedzictwa, które jest bogactwem Częstochowy. Także te jego elementy, które mogą się komuś wydawać mało znaczące, zasługują na szacunek, bo razem decydują o atmosferze miasta, które ma ambicję być "dobrym miastem".



Rys. Władysław Ratusiński

GARAŻ 2006

Festiwal „Garaż” ma za zadanie prezentować znakomitych artystów i upowszechniać mało znane zjawiska muzyczne. Podczas pierwszej edycji - w marcu 2004 roku - publiczność podziwiała Tomasza Stańko z zespołem Fre-electronic, legendarną grupę Tie Break, autorski projekt Antoniego Gralaka Ye She oraz egzotyczne rytmy z Tuvy w wykonaniu szamana Gennady Tchamzyryna. W listopadzie 2006 r. „Garaż” odbył się po raz drugi.

Tak jak poprzednio, organizatorem imprezy była Fundacja Wspierania Kultury „Jasna Chmura” i podobnie jak wcześniej, scenografię stworzył Jarosław Kozia-ra, autor m.in. Wizerunku graficznego zespołu VooVoo. Festiwal poprowadził Tomasz Tłuczkiewicz. Materiały promocyjne zaprojektował Szymon Parafiniak.

Przez artystów i widzów „Garaż” jest postrzegany bardzo pozytywnie. Mateusz Pospieszalski, grający w Grallu, mówi: *Dla mnie ten festiwal ma bardzo duże znaczenie. Dlatego, że integruje środowisko częstochowskie. Druga rzecz, że w Polsce nie ma takiego zjawiska i powinno być kontynuowane. To świetnie wygląda. Oczekuję od tego festiwalu, że będzie organizowany cyklicznie.* Jeden z widzów imprezy, przedstawiciel częstochowskiej sceny hip-hopowej, Dziki: *Dla mnie ma bardzo duże znaczenie, to wydarzenie w Częstochowie. A jazz płynie w mojej krwi, tak jak i w sercu.*

Na drugim Festiwalu mogliśmy wysłuchać gwiazd muzyki jazzowej i jednego muzyka rockowego. Jako pierwsza wystąpiła grupa AJEE (w składzie: Jacek Kochan – perkusja, Sławek Jaskułke – instrumenty klawiszowe, Antoni Gralak – trąbka). AJEE – Acoustic Jazz in Electronic Environment zaprezentowali improwizowaną muzykę graną akustycznie w otoczeniu elektronicznych dźwięków. Drugą formacją była 100 – nka. Grupa młodych jazzmanów, mająca za sobą występ na Summer Jazz Days 2005. Artyści (Tomek Łęś – gitara, Przemek Borowiecki – perkusja, Adam Stodolski – kontrabas) popisali się niezwykle improwizacją. Jednak nie podbili serc ogółu. Inaczej, grający po 100 – nce, Bajzel - człowiek orkiestra. Jak sam mówi, *gra nie wiem... rock 'n rolla?* I wcale nie czuł się tu odizolowany. *O to chodziło. Ja jazzu nie potrafię grać i szczerzę się przyznaję. Ale mam duży szacunek dla muzyków, którzy tutaj grają. Czuję się zwykłym grajkiem, jak słyszę taki poziom muzyczny. Mam nadzieję, że dam radę.* Bajzel, na prośbę publiczności, zagrał po raz drugi. Niezwykłym popisem muzycznym był występ Graala (Antoni Gralak, Piotr Wojtasik – trąbki, Bronek Duży – puzon, Alek Korecki, Włodek



Fot. Adam Markowski

Kiniorski, Mateusz Pospieszalski, Marek Pospieszalski młodszy – saksofony). Widzowie usłyszeli zdumiewający pojedynek muzyczny: dwie sekcje dęte stoczyły walkę na improwizacje, a towarzyszyła temu 100 – nka.

Gwiazdą festiwalowej nocy był Stanisław Sojka z nowym składem (Przemek Greger – gitara elektr. I akustyczna, Mario Matysek – gitara bas., Kuba Sojka – perkusja oraz Zbigniew „Uhuru” Brysiak – instrumenty perkusyjne). Kompozytor zaprezentował piękne aranżacje. Oprócz znanych szerokiej publiczności utworów, takich jak „Cud niepamięci” czy „Sonet 66” Szekspira, zaśpiewał pieśń Czesława Niemena i Jarosława Iwaszkiewicza „Niech przyjdzie wiosna” oraz utwór zbudowany z fragmentu wiersza Odena i refrenu wykonawcy, a zainspirowany atakiem na WTC w New Yorku. A także pieśń pt. „Świat” do słów Leopolda Staffa.

Artysta dwukrotnie zaśpiewał na bis. *Generalnie dla mnie każde spotkanie jest święteczne, ale to szczególnie; Dlatego, że z Częstochową wiążą mnie osobiste związki, z kilkoma osobami, braćmi w muzyce, braćmi w wrażliwości. Powiedziałbym, że tutaj kształtowały się nasze języki muzyczne. Mówię o kręgu Tie Break i o tym, że do dziś stykamy się. Krzyżują się nasze drogi, czasem się schodzą. Często robimy różne rzeczy, ale nadal wiąże nas ta bliskość, ta szczególna braterska miłość –* mówił Sojka.

Organizatorzy festiwalu zapowiadają, że będzie kontynuowany. A młodzi widzowie doskonale widzą, że impreza jest miastu potrzebna. *Cieszymy się, że coś takiego dzieje się w Częstochowie. Ponieważ mało tego rodzaju rzeczy się tu odbywa. A będzie tu kilka rzeczy offowych –* powiedział Marek Pospieszalski. Świetne zorganizowanie dostrzegli też muzycy. *Poziom muzyczny – pierwsza półka. Organizacyjnie wszystko bardzo dobrze –* ocenił Bajzel. Stanisław Sojka zapytany o rangę festiwalu, powiedział: *Jeszcze nie mierzyłem. Mam nadzieję usłyszeć tutaj dzisiaj dźwięki, których nie znałem. I to jest największa frajda z takich spotkań. A że takie spotkania są ważne, to jest oczywiste.*

Rafał Salamucha

MIASTO KIPI KULTURĄ ...

Rozmowa z organizatorami Festiwalu „Garaż”
Antonim Gralakiem i Dorotą Jabłońską

Rafał Salamucha: *W jakich okolicznościach zrodził się pomysł zorganizowania Festiwalu Garaż?*

Antoni „Ziut” Gralak: W dosyć dramatycznych. Nasz przyjaciel wrócił po dwóch latach nieobecności do miasta i zaproponował nam zrobienie ...

Dorota Jabłońska: ...Czegoś.

A.G.: Na razie nazywamy to: coś...

D.J.: I z tego coś, co miało być jakimś tam koncertem, wyszło coś większego. Przez pół roku robiliśmy razem z Krzyśkiem Stacherczakiem i Państwem Filinger ze „Sfinksa” cykl koncertów. Zamienialiśmy galerię handlową w salę koncertową lub w coś, co miało ją przypominać. Udało się parę dobrych rzeczy pokazać.

A.G.: Zapraszaliśmy projekty, które artystycznie nas satysfakcjonowały; były to małe formy, bo wiadomo, że tam nie ma za dużo miejsca, głównie to były duety, tria.

D.J.: Projekty Ziuta Gralaka, Kiniora, Mateusza Pospieszalskiego; udało nam się ściągnąć Smolika, Pink Freud, który był wtedy wielkim objawieniem. Mieliśmy takie ekscentryczne rzeczy, jak Masalę czy Roberta Leszczyńskiego.

A.G.: Kiedy skończyły się pieniądze na ten cykl, który trwał cztery, pięć miesięcy, to postanowiliśmy zrobić zakończenie całej akcji. A ponieważ to wszystko odbywało się w pasażu handlowym, więc pomyśleliśmy, że dobrze byłoby zrobić koncert w tym miejscu. Najbardziej oczywistym miejscem był ten garaż. I nazwa sama się zasugerowała.

D.J.: Bo „Parking” byłaby chyba bez sensu...

A.G.: Był w Częstochowie kiedyś festiwal „Garaż”, dosyć interesujący, został przed laty zapomniany i reaktywowaliśmy go w innej formule. Wiesiek Mazur był jednym z głównych organizatorów tamtego festiwalu. Wiele orkiestr wtedy wypłynęło, między innymi Muniek Staszczuk ze swoim T. Love i kilku innych muzyków, którzy później zaistnieli szerzej w świecie muzycznym. Poszliśmy z pomysłem do urzędu miasta, do pana naczelnika Kozery. Spodobał

mu się pomysł i dofinansował to. Ale wiadomo, że miasto nie ma za dużo pieniędzy na kulturę...

D.J.: Niezależną.

A.G.: Kultura jest na samym końcu łańcuszka pokarmowego. Więc dostaliśmy oczywiście niewielkie pieniądze. I od samego początku postanowiliśmy robić festiwal na zasadzie spółdzielni. Wszyscy, którzy grają, uczestniczą, muszą po prostu przyjść i włożyć coś do wspólnego wora. W ten sposób i muzycy i organizatorzy są jednocześnie sponsorami koncertu. Ktoś daje salę, ktoś daje nagłośnienie, ktoś daje światła. Koszty są maksymalnie obniżone.

D.J.: Staramy się oczywiście z tego wychodzić. To nic przyjemnego, zapłacić komuś mniej niż się powinno. Na pewno tego nie chcemy, dużo osób nam pomaga i dużo osób ma zaufanie do tego, co robimy. Naszym sukcesem jest to, że nie mamy olbrzymiej organizacji i biurokracji. Super koncentracja następuje na dwa dni przed festiwalem i wtedy to wszystko się dzieje.

A.G.: To jest w jakimś sensie samograj. Ponieważ znamy wielu muzyków, oni przyjeżdżają, Krzysztof Stacherczak daje nam salę...

D.J.: Za którą musielibyśmy zapłacić cztery – pięć tysięcy, bo tyle sala w mieście kosztuje.

A.G.: Szymon Parafiniak robi nam plakaty i ulotki...

D.J.: Więc tak naprawdę całe miasto się na to składa, bo jeżeli ludzie nie przyjdą, to my nie mamy pieniędzy, żeby resztę rzeczy popłacić. Ludzie są częścią budżetu. Każdy, kto kupuje bilet, dokłada swoją cegiełkę.

A.G.: Właśnie dlatego mówię, że to jest spółdzielnia.

D.J.: Chcemy, żeby fundacja robiła jeszcze inne rzeczy. Chcemy przyznawać stypendia, robić konkursy dla młodych ludzi. Wspierać ich działalność i talenty. Docelowo będziemy walczyć o poważne pieniądze. Jeśli komuś chce się przyznać stypendium, to nie można dać mu

trzysta złotych czy pięćset na miesiąc i mieć to odfajkowane.

A.G.: Moglibyśmy to nazwać: Festiwal Ściepa Miejska ... Wielka Ściepa Miejska Garaż ...

R.S.: *Czy jest jakiś jeden lub dwóch głównych sponsorów, którzy przyczynili się do tego, że Festiwal „Garaż” mógł się odbyć? Czy też każdy ze sponsorów daje mniej więcej po równo?*

A.G.: Po tych dwóch festiwalach wyłoniło się czterech głównych udziałowców. To jest Urząd Miasta ...

D.J.: „Schott”, Krzysztof Stacherczak jako „Schott”



i jako osoba, jako człowiek instytucja i Art. Restaurant, Graffiti – Szymon Parafiniak i Jasna Chmura. Eryk Fesołowicz, Maciek Grabałowski, Arek Piejko to jest trzon i zarząd fundacji. No i cały czas Wiesiek Mazur nam pomaga. To jest takie trio nasze: Jasna Chmura – cały zarząd, Krzysiek Stacherczak i Wiesiek Mazur. W tym roku naszymi sponsorami był także Joe Cox, Auto Centrum Seata Zajęc i Grupa Żywiec - wszyscy bardzo nam pomogli.

R.S.: *Czym jest Jasna Chmura?*

A.G.: Wiadomo, że żyjemy tu głęboko na prowincji i czasami mamy kłopoty z przebicciem się ze swoimi pomysłami. Wpadliśmy na pomysł, żeby otworzyć taki kanał informatyczny i w Internecie mieliśmy prezentować całe spektrum różnych artystów, którzy działają na terenie Częstochowy. Niestety, mało ludzi wykazało chęć współpracy. Więc zawężiliśmy to do naszych projektów. Projekty muzyczne, filmowe, wyprawy w dalekie światy i koncerty muzyczne, festiwale, a również wystawy. W przyszłości chcielibyśmy utworzyć fundusz stypendialny dla młodych ludzi. Nie tylko muzyków, ale też artystów. Ludzi, u których widać, że mają jakiś potencjał i na pewno będą w przyszłości dobrymi artystami. Ale niestety, na to jeszcze nas nie stać. Wiem, że to jest bardzo potrzebne. Ten pomysł pojawił się, kiedy sam dostałem nagrodę prezydenta i właściwie ta nagroda nie była mi już potrzebna. Ponieważ już byłem muzykiem znanym, uznanym. Dostałem kilka tysięcy złotych i czułem się dosyć niezręcznie z tymi pieniędzmi. Czułem, że one nie mnie się należą. Należały się jakiemuś takiemu jak ja dwadzieścia lat wcześniej. Więc żeby nie mieć długo tych wyrzutów sumienia, skrzyknąłem całe miasto i zrobiliśmy za te pieniądze wspaniały koncert i wielkie party. Było mnóstwo muzyków, artystów. Akurat w tym czasie był Universal Supersesion, zaprzyjaźniona międzynarodowa załoga i zagrali. Uważam, że taki system stypendialny powinien być dla ludzi, którzy startują i którzy w przyszłości będą reprezentować nasze środowisko. Bo artystów, którzy już dali sobie radę, nie ma powodu wspierać finansowo. Można dać im order czy wykupić wycieczkę do Maroka na zimę. Ale dawać pieniądze. Nie myślę, że to bardziej młodym ludziom by się przydało. Będziemy robić wszystko, żeby utworzyć taki fundusz.

R.S.: *Czy środki na zorganizowanie festiwalu uzyskane od Urzędu Miasta spełniły wasze oczekiwania?*

D.J.: Oczywiście, że nie. Ale biorąc pod uwagę jaka suma jest przyznawana, to dostaliśmy jakieś pięć procent kwoty, jaka jest do podziału. Problem tkwi w tym, że miasto przeznacza na te projekty jakieś śmieszne sumy. Dwieście tysięcy na taką ilość fundacji i stowarzyszeń, które prowadzą działalność kulturalną, to jest nieporozumienie. Myślę, że w granicach siedmiuset, ośmiuset tysięcy można byłoby mówić o faktycznej poprawie jakości przedsięwzięć. Po roku takiego dofinansowania zobaczylibyśmy kilka świetnych festiwali. To jest dziwne, że w takim mieście gdzie jest tylu świetnych artystów

i taka super publiczność, nie mamy żadnego zawodowego festiwalu muzycznego, teatralnego czy multimedialnego. Jeździmy po Polsce na okrągło, kilka razy do roku okrążamy cały kraj, czasem lądujemy w takich dziurach gdzie Częstochowę widzą jako metropolię - i tam są wielkie, tygodniowe festiwale. Gdzie całe miasto się bawi, gdzie jest wszystko. Gdzie przyjeżdżają największe teatry uliczne, są festiwale filmowe itd. U nas nie ma nic takiego, choć odbiorców sztuki wszelakiej w mieście jest bardzo wielu. Na mapie kulturalnej Polski nie istniejemy, proszę zapytać kogokolwiek w Polsce, czy słyszał o jakimś wydarzeniu artystycznym w Częstochowie, albo że się wybiera do nas na festiwal...

A.G.: Miasto jest pustynią.

A.J.: Za dwieście tysięcy nie zrobimy nic, co by to zmieniło.

A.G.: To jest najlepsza promocja Częstochowy. Miasto w tej chwili nie ma żadnych argumentów, atutów w porównaniu do innych tej wielkości miast. Jest Jasna Góra. Są pielgrzymki, ale to żyje swoim, pozamiejskim biegiem. My tutaj, w podgrodziu, jesteśmy skazani zupełnie na siebie. Więc powinniśmy pokazać na zewnątrz, że miasto kipi kulturą. W mieście buzuje. Bo tak naprawdę jest. Jest tutaj niewyobrażalna liczba, na wysokim poziomie, malarzy. Jest równie wielka liczba muzyków. W porównaniu do innych miast jesteśmy naprawdę do przodu. Natomiast nie ma miejsca, ani bazy, gdzie moglibyśmy spotykać się, wymieniać poglądy i w ten sposób rozwijać, poprawiać swój warsztat itd. Festiwal jest takim miejscem, gdzie miasto się chociaż na chwilę integruje, gdzie w jednym miejscu można spotkać wielu wartościowych ludzi. Dlatego walczyliśmy o to, żeby co roku robić takie spotkania.

R.S.: *Czy zdobycie środków na zorganizowanie festiwalu jest proste, czy też trzeba stanąć na głowie, ażeby uzyskać pomoc ze strony Urzędu Miasta?*

A.G.: Jeżeli jest pomysł, to teoretycznie jest zrozumienie. Ale z pieniędzmi to jest inna historia. Jak wcześniej wspomnieliśmy, jest dwieście tysięcy dotacji, więc przyznawane kwoty nie pozwolą na swobodną pracę i zrealizowanie wymarzonego scenariusza. Teoretycznie możemy dostać do 50% budżetu imprezy, ale nie znam nikogo z niezależnych, kto by tyle dostał.

D.J.: Wszystko stoi po stronie miasta, urzędnicy powinni wywalczyć większe środki, jeżeli myślimy poważnie o promocji. Dla porównania, w Urzędzie Marszałkowskim woj. śląskiego było w zeszłym roku dwadzieścia milionów, a u nas dwieście tysięcy. Jakie to są proporcje? Naszym włodarzom albo nie udaje się tych pieniędzy wywalczyć albo myślą, że to wystarczy.

A.G.: Porównajmy, ile środków zostało skierowanych na remonty obiektów, w których tak naprawdę nic się dzieje. Nikt tam nie „mieszka”. Natomiast my ciągle żyjemy tutaj. I mamy pomysły, aktywność, ale nie możemy tego realizować. Wydaje mi się, że te proporcje

są mocno wykrecone. Może warto by się zastanowić, czy może część tych środków przekazać na festiwale, wspieranie stowarzyszeń itd. Żeby to miasto rzeczywiście zaczęło żyć. Żebyśmy nie musieli wyjeżdżać na koncerty do Katowic, Łodzi, Kielc, czy do Opola.

D.J.: Więc jak jest kasa, to sami organizujemy albo nie zobaczymy nic nowego. Jeśli chodzi o muzykę jazzową, to z całym szacunkiem, ale ile razy w ciągu roku można słuchać pana Napiórkowskiego czy Namysłowskiego? W tej chwili dzieją się zupełnie inne rzeczy. A po sąsiedztwu, w Katowicach, ludzie ściągają czołówkę światową. I nie ma żadnego problemu, żeby ich posłuchać u nas.

A.G.: To nie tylko o jazz chodzi. Mamy muzykę klubową, rockową czy hip-hop. Przy okazji ściągania kogoś do Katowic, Wrocławia czy Krakowa mogliśmy ich zapraszać do Częstochowy.

D.J.: Po pierwsze, nie ma jak tego robić z powodów finansowych, i z powodu miejsca. W „Garażu” nie możemy zrobić imprezy masowej. Straż pożarna uważa, że to miejsce nie spełnia standardów. „Garaż” według straży nie spełnia założeń organizowania imprezy masowej, a to jest najnowocześniejszy i najbezpieczniejszy budynek w mieście. Szkoda gadać...

R.S.: *Nie wyniknęły żadne problemy w organizowaniu tego festiwalu?*

A.G.: Nie. To już był drugi festiwal, byliśmy mocno zaprawieni w bojach. Pewne kanały już na pierwszym festiwalu zostały przetarte i pootwierane. Okazało się, że jesteśmy bardzo sprawną załogą. Każdy wie, co ma robić. I wszystko dosyć sprawnie przebiegło.

D.J.: Jedynym poważnym problemem jest reklama. Powieszenie baneru, postawienie potykaczy wiąże się z pisaniem podań, proszeniem o zezwolenie i płaceniem za każdy metr kwadratowy. Dla nas to były duże kwoty, a co dopiero dla mniejszych organizacji. Jeżeli mamy dofinansowanie Urzędu Miasta, to bzdurą jest, że część pieniędzy od UM oddajemy do UM. Skoro tak nas wyróżniono, to niech za tym idą wszystkie rzeczy, które zależą od miasta. Co z tego, że dostaliśmy jakąś sumę, jeśli część tej sumy już musimy oddać, bo chcemy zrobić reklamę. To jest bez sensu. Firma płaci firmie, od której dostała dofinansowanie.

R.S.: *Jeślibyście mieli wystarczające, nieograniczone środki finansowe, jak by wyglądał taki festiwal?*

A.G.: Na pewno zrobilibyśmy kilkudniowy, duży festiwal w pięknym miejscu, w okolicach centrum. Mamy takie miejsce, które chcielibyśmy pokazać częstochowianom.

D.J.: Może „Mały” tutaj nie zrobimy, ale to powinno być coś w tym stylu. Wielki, kilkudniowy festiwal, z filmem, teatrem itd.

A.G.: Marzeniem jest stworzyć duże centrum kultury. To funkcjonuje we wszystkich miejscach w Europie już od wielu lat. One się nazywają Culture House. To są takie miejsca perpetuum mobile. Ludzie uczą się, zdobywają wiedzę na temat różnych mediów. Są miejsca, w których młodzi ludzie uczą się drukować, robić plakaty czy organizować koncerty. Są miejsca,

w których można zrobić próby, mieć pracownie, w których są koncerty, wernisaże, spektakle, spotkania itd.. To jest kombajn, który jest czymś samonapędzającym się. Nie wiem, dlaczego w Polsce takie miejsca rzadko powstają w nowoczesnej, europejskiej formule: wiele osób ma klucze do pracowni, można pracować w nocy. To się sprawdziło na świecie. Jest szansa, żeby Częstochowa była pionierem na tym polu.

D.J.: Powstają takie miejsca. W Kielcach prezydent przeznaczył dla stowarzyszeń wielką przestrzeń poprzemysłową.

A.G.: My nie możemy się chwilowo porównywać do Kielc.

D.J.: Mamy takie przestrzenie, które stoją nieużywane. Dlaczego tego nie przekazać kilku aktywnym stowarzyszeniom, które działają na rzecz kultury?

A.G.: Poszukamy w mieście młodych aktywnych ludzi, których zaprosimy do współpracy. Tu jest duża grupa ze świata hip-hopu, jest bardzo duża grupa jazzmanów, jest duża grupa raegge. Poza tym jest duże środowisko świetnych plastyków. Mamy potencjał. Moglibyśmy zrobić taki obiekt, w którym by się gotowało. Tygiel, w którym starsze pokolenie mogłoby się dzielić z młodszymi swoją wiedzą i doświadczeniem, z kolei młodzi mogliby dawać swoją świeżość i energię itd. Co miesiąc moglibyśmy robić duży festiwal. Pomyślmy o czymś takim. Jest MGS, która jest zupełnie niewykorzystana. Odbywają się tam dyskoteki, sprzedaż ciastek i bamboszy w Cepelii. A to był obiekt powołany do promocji kultury. I można by, zanim się nie wybuduje nowego, o czym od dawna słyszymy, wykorzystać ten. To musi żyć dwadzieścia cztery godziny na dobę. Widziałem dziesiątki takich miejsc. Od Dani przez Niemcy, Austrię itd. Cała Europa wykorzystuje tego typu przestrzeń. To jest o tyle ważne, że jest wielu młodych ludzi, którzy nie mają co z sobą zrobić. Chodzą od klatki do klatki, od bramy do bramy i zastanawiają się co zrobić ze swoim życiem. A mając taką bazę, na pewno wielu z nich zainteresowałoby się jakąkolwiek dziedziną sztuki i pracą.

D.J.: Będą mogli ukierunkować swoje zdolności. Oprócz tego, że będą pracować. Bo będą mieć miejsce, gdzie nikomu nie będzie przeszkadzało, że śmierzdzą farby. Że słuchają głośno muzyki, bo tak lubią pracować. Nauczą się sprzątać po sobie i zorganizować coś wspólnie. Ma to niezwykłą wartość.

A.G.: Nieocenioną wartość. Szkoda, że ten potencjał jest marnotrawiony. Że wielu z tych ludzi, którzy by w ten sposób odnaleźli swoją drogę życiową, jest zupełnie pozbawionych naszej opieki. Ja, jako człowiek dorosły, czuję taką odpowiedzialność. Nie mam środków i nie jestem decydem, ale gdyby to ode mnie zależało, to prawdopodobnie nie wyremontowałbym kolejnej kamienicy. Tylko postarałbym się stworzyć coś takiego. Co jest naprawdę bardzo ważne.

D.J.: A później wyremontować kamienicę ...

A.G.: A później ci młodzi ludzie sami wyremontują niejedną kamienicę ...

FOTOGRAFIA Z HISTORYJKĄ

Janusz Mielczarek

Z postaci figurujących na rodzinnej fotce - zrobionej w Częstochowie w roku 1973 - przynajmniej trzy osoby zajmują dzisiaj znaczącą pozycję w polskiej kulturze. Nazywali się kiedyś – „Szkółka niedzielna ojca Stanisława”. Byli muzykującą rodziną, którą ponad trzydzieści lat temu po raz pierwszy przedstawiła na antenie telewizyjnej Bożena Walter, tropiąca wówczas pasjonatów rodzinnego muzykowania. Miałem okazję pisać o nich w tamtym czasie w miesięczniku „Nad

Wartą”. Mogłem też przyjrzeć się z bliska „Ojcu Stanisławowi”, człowiekowi niezwyklej kultury, ciepła i intelektu, z którym w większym gronie przegadaliśmy niejedną wieczór o sztuce i literaturze w domu moich rodziców, słuchając muzyki z płyt bogatego – jak na tamte czasy – zbioru mojego brata Marka.

Mowa, oczywiście, o panu Stanisławie Pośpieszalskim i jego utalentowanych dzieciach. Towarzystwo rozpieczęło się po świecie, ale przynajmniej dwójka: Mateusz i Marcin (na pierwszym planie po lewej i prawej stronie bębna z kotami), wciąż zaznaczają swoją obecność w polskim świecie muzycznym, są z Częstochową związani nie tylko miejscem zamieszkania. Najstarszy i najwyższy - w centrum fotografii, z długowłosą czupryną, dumnie dźwigający gitarę - to Jan Pośpieszalski, prowadzący dzisiaj w telewizji program – „Warto rozmawiać”.



Fot. Janusz Mielczarek

AKTOR UNIWERSALNY

z Piotrem Machalicą
rozmawia Marian P. Rawinis

Co Pan wiedział o teatrze w Częstochowie przed rozmową z Robertem Dorosławskim, który zaproponował Panu funkcję dyrektora artystycznego?

Wiedziałem, kto był tu dyrektorem w ostatnich latach, kto reżyserował i jakie gwiazdy z Warszawy przyjeżdżały tutaj grać.

Propozycja zainteresowała Pana, ponieważ dawała szansę na zrobienie czegoś, czego do tej pory Pan nie robił?

Gdy padła ta propozycja, uznałem, że jest mało prawdopodobna. Była to tylko telefoniczna rozmowa. Ale po spotkaniu miałem czas, żeby to sobie przemyśleć i powiem panu tak: ani mi się coś takiego nie śniło, ani nigdy nie miałem takich ambicji. Natomiast pomyślałem sobie, że będąc od 25 lat w teatrze, stale natykam się na rzeczy, które mnie potwornie irytują. Podeprę się przykładem. Teatr repertuarowy jest to taki teatr, który ma w swoim repertuarze dużo sztuk i sztuki są grane wymiennie. To jest OK. Tylko, jeśli pracujemy nad tytułem, dochodzimy do premiery - to jest dwa, dwa i pół miesiąca, czasem trzy - dajemy premierę, następnie gramy to 4, 5 razy i wracamy do tytułu po miesiącu, to odczuwam w tym jakąś niedorzeczność. Jeśli pracujemy tyle czasu, a jeszcze się okaże, że sztuka się podoba - nie odnoszę się do recenzji, ale do tego, że ludzie dzwonią i mówią, że chcą oglądać - to uważam, że tytuł trzeba grać. Oczywiście, Częstochowa nie jest miejscem, gdzie można jeden tytuł grać 30 razy po premierze, bo ilość widzów w pewnym sensie jest ograniczona, więc to trzeba rozkładać w czasie. Pomyślałem sobie, że coś z tych rzeczy, które bym chciał zmienić, mogę przeprowadzić. Natomiast nie widziałem żadnego spektaklu. Musiałem to szybko nadrobić. Przyjechałem i obejrzałem. Było przygotowane tutaj offowo przedstawienie, na własny rachunek, przygotowane przez aktorów teatru. I pomyślałem, iż tak być nie może. To do niczego dobrego nie doprowadzi, ponieważ sztuka nie zasługiwała na to, aby po nią sięgać, a poza tym - pewnie z przyczyny szybkiej realizacji - była bardzo niechlujnie przygotowana. Nie mogliśmy tego wziąć do repertuaru, przedstawienie było do całkowitej poprawy, do przebudowy, nie mówiąc już o tym, że nie mogło funkcjonować w taki ubogiej



i nędznej scenografii, a jej poprawa pociągałaby za sobą znaczne koszty. Funkcjonuje taki termin - teatr prowincjonalny. Ale prowincja jest w ludziach. Teatr - rzetelny, ważny, dla ludzi - można robić wszędzie. Pod warunkiem, że ma się na to wielką ochotę, wielką siłę i energię.

Pamiętam kilku dyrektorów tego teatru, którzy byli wybitnymi aktorami. Przyjechali z Warszawy - Bartosik, Talar, Prerepeczko, teraz Pan. W mieście powiatowym bywa tak, że nowego człowieka wita się z otwartymi ramionami, a potem nagle się mówi: temu panu już dziękujemy.

Nie rozumiem. Dlatego, że ja nie mam napinki. Nie mam żadnego napięcia, że muszę to robić. Jeśli okaże się, że nie dam rady, to trudno... Spotkałem się tu ogromną życzliwością. I miasta, i pana prezydenta, i wszystkich, którzy do tego teatru nagle znowu zaczęli chodzić, i trzymają za nas - za mnie i za Roberta - kciuki. Ale mam pełną świadomość, że może być rozmaicie. Nie każda premiera nam - puk, puk! - musi wyjść. Moim staraniem, naszym staraniem jest to, żeby jeśli jest jeden teatr w mieście, możliwość wpadki zminimalizować. Bo to nie jest tak, że każda premiera będzie tak przyjęta jak „Jabłko” i trzeba wstawiać do repertuaru dodatkowe przedstawienia. Moja rola jest w tym, żeby szukać takich reżyserów, którzy zechcą tutaj przyjechać i pracować z zespołem, którego kompletnie nie znają. Reżyser woli pracować z ludźmi, których zna, ale reżyserów, którzy

już coś osiągnęli, jest trudno namówić. Na przykład spotkałem się z takim, któremu mówię: przyjeżdż, jest fajny zespół, masz pełną dowolność jeśli chodzi o to, co byś chciał zrobić. A usłyszałem w odpowiedzi: Ja jeszcze nie umieram z głodu, żeby musiał do Częstochowy jechać. OK. Natomiast jest cała rzesza wspaniałych młodych ludzi, potwornie napalonych, niekoniecznie mają oni w głowach wyłącznie jakieś eksperymentowanie, a chcą robić teatr rzetelny. Z tymi ludźmi bardzo chciałbym pracować.

Odnoszę wrażenie, że teatrom nie zależy na wychowaniu przyszłego widza. W szkole młody człowiek uczy się, co to jest teatr antyczny, oświeceniowy, romantyczny, awangardowy, a nie ma gdzie zobaczyć tego praktycznie. Nawet jeśli, to trafia na coś, co najczęściej zupełnie nie nadaje się do wykorzystania w szkole. „Odyseja” we współczesnym kostiumie, „Kordian” pozbawiony treści narodowo-wyzwoleńczej. „Ożenek” też mi się niespecjalnie podobał...

Oczekiwałby pan, żeby wszystko było robione po bożemu?

Też. Co jakiś czas. Żeby widz zobaczył, co to jest teatr. A tu kilka sztuk pod rząd robionych w taki sam sposób, choć jedną napisano w starożytności, drugą w XIX, a inną w XX wieku...

Gdzie tak było? Tu? Ale to jeden reżyser robił. I jeden scenograf. Tak nie będzie, choćby z powodu różnych reżyserów, jacy będą się tu pojawiali. Oczywiście, że robienie bryku z „Kordiana” - nie widziałem tego przedstawienia - jest totalnym nieporozumieniem. Bo jeśli się zabierać za „Kordiana”, to trzeba go robić w całości. Ale i trudno powiedzieć, żeby słynny spektakl Hanuszkiewicza, nie wiem czy pan go widział, z końca lat 60, żeby on był po bożemu. Andrzej Nardelli grał Kordiana. Ten „Kordian” po bożemu zrealizowany nie był, nie był klasycznie wystawiony, a było w nim wszystko.

Widziałem. Z Ignacym Machowskim jako Wielkim Księciem.

Gabrys Gietzky nie uciekł od Gogola, on go tutaj nie upraszczał. On, w moim odczuciu, bardzo skupił się na charakterach, na tych ludzikach, którzy są całym mięchem u Gogola. I to mu się, moim zdaniem, udało. Rozumiem tych młodych ludzi, którzy przychodzą, mają takie życie jakie mają... Byłem tutaj na „Antygonie”. Siedziałem na balkonie i patrzyłem, co się dzieje na dole. Telefony komórkowe włączone, a chłopacy i dziewczęta grali w gry, pisali SMSy, w ogóle ich to nie zajmowało, z racji tego, że ta opowieść ich w ogóle nie wciągnęła.

Mnie nie chodzi o to, żeby przedstawienia były zawsze klastycznie wystawiane. Mnie chodzi o to, że bawiąc się w eksperymenty, a może i z powodu oszczędności, często gubimy tekst.

Dla młodzieży trzeba tworzyć strasznie czytelnie. To nie mogą być jakieś znaki, nie będziemy na siłę uwspółcześniać. Od jakiej strony? Inscenizacyjnej? I gubimy to, co tam jest napisane. Ja Kocham klasyczny teatr, romantyzm to moja pasja. Chciałbym dotknąć romantycznego repertuaru. Nie jakieś taki bryk - powymyślane, lewą ręką do prawego ucha. Nie. Mnie by się marzyło, żeby zrobić piękne „Dziady”...

Zapewnia mnie Pan, że w sensie artystycznym teatr nie pójdzie wyłącznie w jedną stronę? Wyłącznie w eksperyment, że i klasyczne wartości zostaną ocalone?

Rozumiem podstawową zasadę. Jest jeden teatr w Częstochowie. Częstochowa nie jest wyjątkiem, Białystok ma jeden teatr, Bielsko też ma jeden. Czego bym sobie życzył, co bym chciał? Żeby ludzie do teatru chodzili. Żeby ludzi nie odpędzać od teatru rzeczami, które robimy - będę brutalny - dla samych siebie. Jeśli robimy coś, co tylko my rozumiemy - sam brałem udział wielokrotnie w takich przedsięwzięciach... Mamy taki pomysł z Robertem, żeby zrobić krótki festiwal sztuk eksperymentalnych. Ale to nie mogą być fundamenty budowy repertuaru. Jak również nie może być fundamentem granie tylko wesołych i luźnych rzeczy. To w ogóle odpada. Istotne dla mnie jest, żeby na każdy zaproponowany tytuł znalazł się widz.

Rozumiem, że jako odpowiedzialny za część artystyczną, ma Pan pomysły na dłużej...

Na przyszły sezon już mamy. To jest oczywiście dość trudne. Dlatego, że trzeba zaklepać terminy z reżyserami. Bo ja mówię: słuchaj, przyjeżdż, będziesz robił Woody Allena w drugiej połowie przyszłego sezonu, czyli w styczniu 2008 roku. Ale czy on może wiedzieć, co będzie robił w styczniu 2008? A ja bym chciał, żeby to już było pewne. Różnie może się wydarzyć, ale chcę mieć w głowie wizję przyszłego sezonu. Nie z grubsza nawet, tylko co konkretnie.

Już Pan zdradzi jakieś tytuły?

Poczekajmy jeszcze.

Zawsze jest niepokój w zespole, że jak przychodzi nowy dyrektor artystyczny z nowymi pomysłami, to zapewne będzie zapraszał kogoś z zewnątrz, jakieś gwiazdy, wokół których można będzie grać przedstawienia z niekorzyścią dla miejscowych.



Nie ma: z korzyścią niekorzyścią. Jeśli przychodzi ktoś, to tylko z korzyścią. I dla zespołu, i dla przedstawienia. Tu nie ma żadnego kunktatorstwa, że ja kogoś wezmę, bo jest moim kolegą, albo koleś, albo koleżanką. Nie. Zwróciły się do mnie dwie koleżanki z Warszawy – nie będę mówił nazwisk – które mają sztukę i chciałyby ją zrobić. To są ważne nazwiska, więc one dwie i trzy osoby z tego zespołu. I to jest tylko z korzyścią dla zespołu, i dla przedstawienia. Ten zawód jest niesprawiedliwy. On jest tak samo niesprawiedliwy w Częstochowie, jak jest niesprawiedliwy w Warszawie i w każdym innym mieście. Nie ma tak, że wszyscy muszą mieć po równo. A co ja mogę powiedzieć o tym zespole? Na początku moja wiedza była taka, że zobaczyłem fantastycznych ludzi. Tylko troszkę zdołowanych, zamkniętych, hermetycznych. Nie będę odnosił się to tego, co mogło spowodować taką postawę. Po tych trzech miesiącach jestem zachwycony! Nie mówię tego, żeby się im tutaj podlizywać. Tylko mam wrażenie, że oni nabrali powietrza, że rosną. Pierwsze próby czytane, na których byłem, nie były takie: panie, co się tu może zdarzyć, my już wszystko mamy za sobą. Nie. Czuję, że to się podnosi i mam wielką nadzieję, że będzie rosło. Że się będziemy skupiać na tym, co mamy do zrealizowania, na kolejnych projektach, a nie będziemy tracić energii na sporach, że ktoś coś więcej. Tak w tym zawodzie jest. Mały problem, to brak młodzieży... Ale jest bardzo wielu młodych ludzi po szkołach teatralnych, których nie trzeba brać na etat, bo przyjadą chętnie i gościnnie zagrają.

Mam nadzieję, że nie utonie Pan w sprawach dyrektorskich i sam zechce wystąpić...

Mam takie wsparcie w Robercie w sprawach organizacyjnych, że damy radę. Bardzo bym chciał z nimi zagrać i myślę, że oni chcieliby zagrać ze mną. Absolutnie tak. Tylko jestem teraz zajęty czym innym, niż szukaniem dla siebie sztuki. Taki moment nadejdzie, bo nie wyobrażam sobie, że bym nie grał. Nie wyobrażam sobie życia bez grania. Bo to jest moje życie.

Jest Pan bardziej znany z ról filmowych, potem kabaretowych, a dopiero potem teatralnych. W Warszawie może to wygląda inaczej. Można iść i zobaczyć. Ale z punktu widzenia, powiedzmy, Polski centralnej...

Ależ skąd! Jeśli wziąć ilość moich ról filmowych – mówię o poważnych rolach, nie o epizodach – do istotnych ról teatralnych, to teatralnych jest zdecydowana przewaga. Ale użyję tego obrzydliwego słowa - czuję się aktorem uniwersalnym. Uważam, że w ten zawód wpisane jest wszystko: teatr, film, estrada. I jeszcze reklama. Jeśli komuś jest dane dotknąć wszystkich tych dziedzin, jest cudownie. Mnie się to udawało.

Jak przychodzi ktoś z zewnątrz, to powoduje bardzo duże spodziewania u widzów. Ale i bardzo duży kredyt zaufania. Pod warunkiem, że dany będzie odbiorcy – tak jak Pan powiedział - traktował poważnie. Bardzo niedobrze zostało odebrane takie zdarzenie. Ktoś tam, kto zrobił już pewną sztukę w Polsce, do tego stopnia podchodził olewając do realizacji w Częstochowie, że się tu w ogóle nie pokazał. Tylko kasetę z nagraniem przysłał. Nieważne, plotka to czy prawda. Ważne, że tak się mówi. Że ten ktoś z góry nastawiał się na to, że ta publiczność go nie obchodzi.

Nie wiemy, czy tak myślał... A plotka, to w ogóle...

Dobra. Niech będzie: opinia publiczna.

Po pierwszej próbie „Ozenku” doszły mnie słuchy, że zespół wypytywał reżysera, czy on aby gdzieś to zrobił i czy aby będzie miał czas, żeby tu być i pracować. Co wprowadziło młodego reżysera w ogromne zdumienie. Ja bym nie zapraszał Gabrysia, gdybym nie wiedział, że jest to niezwykle odpowiedzialny człowiek, z którym pracowałem i po prostu zachwycałem się jego wyobraźnią. Panu się „Ozenek” nie podobał, mnie się strasznie podobało to, co on robi w tak trudnym momencie dla tego teatru. Wśród ludzi, z którymi gadam, są tacy, którzy są kompletnie niezainteresowani, żeby robić w Częstochowie i tacy, którzy mówią: tak, przyjadę, będę i zrobię. A co do tego, że reżyserzy powtarzają swoje przedstawienia.... Podam panu nazwisko Waldemara Śmigasiewicza, który zrobił „Ferdynand” Gombrowicza kilka czy nawet kilkanaście razy. Ani jedno z tych przedstawień nie było kalką wcześniejszego. To były kompletnie inne przedstawienia. Ale są reżyserzy, którzy mają tak zwany format, jeżdżą z tym formatem i powielają. Nie, nie może być tutaj takiej sytuacji: a tak sobie pykniemy! Nie. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, mają świadomość, że trzeba mieć szacunek i dla aktora, i dla publiczności gdziekolwiek byśmy tego nie robili, w Częstochowie czy w Nowym Sączu.

To, co Pan mówi, po prostu mnie zachwyca...

O! Ja sobie tego nie wyobrażam inaczej. Teatr z niczym innym mi się nie kojarzy, tylko z rzetelnością, szczerością. Pracowałem ze świetnymi reżyserami i fantastycznymi aktorami. Oczywiście, były rzeczy, które nam wychodziły i takie, które nie wychodziły. Mogę mnożyć tytuły. Na przykład zrobiona z Lacem (Adamikiem), z Kryską (Jandą) w roli głównej, „Fedra”. Uważam, że było to piękne przedstawienie. Włożyłem w to maks roboty, jak zawsze zresztą. Ale nie mieliśmy publiczności, i krytyka nas schalastała...

Jak Pan sobie radzi z tym dzieleniem się na Warszawę i na Częstochowę?

Do tej pory było bardzo trudno. Ponieważ jeszcze sprzed propozycji dyrektorowania dużo rzeczy miałem już zabukowanych. Premierę w Narodowym w październiku, rozmaite inne rzeczy. Ale też zastrzegłem, że nie mogę zrezygnować z żadnych moich zobowiązań, jak również nie będę odrzucał tych, które ewentualnie się pojawiają. Uważam, że jest to do pogodzenia. Teraz wszystko tam zakończyłem, siedzę tu, jeżdżę tylko dogrywać, a że gram w kilku teatrach - w Powszechnym, Narodowym, w Komedii, Syrenie - to jest kilka dni w miesiącu. Najważniejsze jest dla mnie, żeby ludzie do teatru z przyjemnością przychodzili, żeby spędzili tu miły wieczór ze świadomością, że nie będziemy ich walić po łbie czymś, co jest im dalekie. Ludzie przychodzą na różne spektakle. Część przychodzi na aktorów i jest w stanie znieść cztery godziny oglądania przedstawienia, albo sześć jak u Lupy, a ludzie wychodzą zachwyceni, zafascynowani.

Jak Pan się czuje w Częstochowie? Czy miał Pan już okazję pochodzić sobie, rozejrzeć się, popatrzeć i zobaczyć, jakie to miasto?

Nie zachwyca ono architekturą... Przez to miasto przejeżdżam kilkadziesiąt razy rocznie, mam matkę na Śląsku, zatrzymuję się. Teraz oczywiście poznałem bardziej. Ma miejsca piękne i urocze. Na przykład tam, gdzie teraz zamieszkałem, za szpitalem. Tam są piękne tereny, wolę je od blokowisk. Mnóstwo zaproszeń otrzymuję, wiele rzeczy się tu dzieje. Teraz będę więcej tu, a mniej w Warszawie...

Proszę opowiedzieć o sobie. Może Pan wskazać kilka węzłowych punktów w swoim życiu, które uczyniły z Pana taką postać, jaką Pan jest teraz?

Całe życie się na to złożyło... Dzieciństwo, które było związane z pracą ojca: jeździliśmy po Polsce,



kiedy on zmieniał teatry. To się skończyło w Zielonej Górze, kiedy my - mam jeszcze dwóch braci starszych - poszliśmy do szkoły. To już nie było tak, że ojciec co dwa sezony zmieniał teatr. Potem wiek dojrzwania, od 15 roku życia mieszkałem z ojcem, co było dla mnie ważne.

W rodzinach aktorskich dość często spotkamy się z tym, że dzieci aktorów są w opozycji do zawodu rodziców, przynajmniej w pewnym okresie. Jak to jest w klanie Machaliców?

Moje dzieci tak mają. Absolutnie w opozycji. No, córka tańczy, ale syn nie myśli o aktorstwie. A klan Machaliców? Trzech nas było. Był ojciec i jest brat.

Ojciec, Henryk Machalica, był bardzo wyrazisty. Lubię wspominać Teatr Narodowy za Hanuszkiewicza, gdzie występowało wielu wybitnych aktorów, w tym - jeśli Pan pozwoli na takie określenie - Stary Machalica.

Wyrazisty... Przez długie lata, nawet jak przyjechał do Warszawy i robił teatr telewizji za teatrem telewizji, ludzie nie kojarzyli nazwiska. Potem się to zmieniło, a prawdziwa popularność dopadła go od serialu „Złotopolscy”. Ale Henryk był przede wszystkim wspinał się aktorem teatralnym.

Pański świat od dzieciństwa był teatralny. Nie przejawiał Pan chęci wyrwania się?

Myśli pan, że od dzieciństwa marzyłem, żeby być aktorem? Otóż nie. Kiedy trochę dojrzałem, gdzieś pod koniec podstawówki, moim jedynym marzeniem było wyjechać z tego kraju.

Wyjechać i co robić?

Ahoj, przygodo! To miało taki wymiar. Wyjechać i być daleko od tego kraju. Często jeździłem na lotnisko, patrzyłem jak odlatują samoloty... Marzyłem, żeby wyjechać, a nie było wtedy łatwo wyjechać. Gdy dostałem zaproszenie z Berlina, kolega mi to załatwił, to pojechałem do Kopenhagi. Później przez cztery lata nie mogłem nigdzie pojechać, bo pojechałem do Kopenhagi a nie do Berlina. Co ja będę mówił, to są takie pierdoły ustroju, w jakim żyliśmy. Zawsze miałem ogromną świadomość tego, w czym żyję. Nie chciałem się do tego wszystkiego odnosić i żyć pozorną wolnością.

Niektórzy z aktorów wyjechali i różnie sobie radzą, z reguły nie najlepiej. Gdyby Pan wyjechał, nie byłby Pan dzisiaj znanym polskim aktorem.

Bo to jest potwornie trudne. Łatwiej jest muzykom, to język zdecydowanie uniwersalny. Jak bym wyjechał do Stanów mając cztery lata i tak mnie zakreśliło, że marzyłoby mi się zostać aktorem, to kto wie, jakby to wyglądało. Oczywiście, teoretyzujemy. Przy czym wolę myśleć, że mnie by się udało. Gdybym znał świetnie język, a wszystkie moje kompleksy, które mi przez lata towarzyszyły...

Jakie kompleksy może mieć taki duży mężczyzna?

O! Choćby, że jest taki duży. Kiedy dorosłem, ojciec przypominał mi, jak się wstydziałem, że mam długie nogi i się garbię. Teraz staram się nie garbić.

Aktorzy mówią, że zostali aktorami dlatego właśnie, że byli nieśmiali, źle się czuli wśród innych ludzi, więc żeby przelamać w sobie te kompleksy zostali aktorami. Pan w to wierzy?

Wie pan, to jest każdego indywidualna opowieść, dlaczego został aktorem. U mnie, pewnie i u mojego brata, jest ewidentne, że myśmy zostali aktorami, bo byliśmy skażeni i zarażeni tym zawodem w domu. Zwiedziłem z ojcem wiele teatrów. Jelenią Górę, Zieloną Górę, Bielsko. Byłem mały. Ale pamiętam zapach teatru, ten zapach szminki, kostiumy... A jeszcze, jak już sam tego dotknąłem, te cztery lata szkoły, ludzi których tam spotkałem, fantastycznych, świetnych aktorów. Oni mnie uczyli. Ale przede wszystkim opowiadali o swoim świecie, o swoim życiu, o swoim stosunku do świata, do teatru, do tego zawodu. To było fascynujące, to była najważniejsza nauka. Tadeusz Łomnicki, Ryszarda Hanin, Andrzej Łapicki, Wojciech Siemion, Andrzej Szczepkowski. Takie rzeczy, których nie zapomnę. Z Łomnickim pierwszy semestr, pierwszy rok, myśmy próbowali jakieś tam scenki: *Tak, tak, ale wiesz, teatr to nie jest życie, to nie jest rzeczywistość. Teatr to jest podwojona rzeczywistość.* To było bardzo widać, to było u niego organiczne, że forma którą on za każdym razem narzucał, była tak strasznie prawdziwa i organiczna. Ja jeszcze miałem tę wiedzę, której nie mieli moi koledzy, że to nie jest tak, że gdy skończę szkołę, to przede mną kariera, kasa i popularność. Wiedziałem, jak to wygląda. Pracowałem w Teatrze Narodowym od 1971 roku - najpierw jako froter-rzemieślnik, potem pomocnik bibliotekarza, a następnie pomocnik fotografa, to były cztery lata. Widziałem kolejne roczniki młodych ludzi, których przygarniał Adam Hanuszkiewicz, bo on zawsze ich przygarniał, widziałem tych młodych, naprawdę napalonych, jak gasną, bo w tej rzeczywistości już się nie wyrabiają. Widziałem, jak odpadają, giną. Tylko niektórzy bardzo się w tym zawodzie rozwinęli. Miałem świadomość, że jak skończę szkołę, to mi się nic nie należy. Nic. Albo mi się uda albo nie. I nie wyobrażałem sobie, że jak mi się nie uda, pójdę gdzieś na etat i będę czekał, aż mi się coś zdarzy. Nie wiem, co bym zrobił. Bardzo starałbym się wyjechać. Ale po skończeniu szkoły ja się nie mogłem opędnąć od propozycji. Już nie mówiąc o tym, że znalazłem się w moim wymarzonej teatrze. Nie byłem u żadnego innego dyrektora, tylko poszedłem od razu do Zygmunta Hübnera, który powiedział, że da mi odpowiedź za dwa tygodnie. Podejrzewam, że gdyby nie przyjął mnie wtedy do zespołu, to tak jak prawie cały mój rok, poszedłbym do Zielonej Góry i tam przez dwa sezony próbował z innymi robić teatr...

W którym momencie przestał Pan myśleć o wyjeździe z Polski?

W Kopenhadze. Byłem absolutnie zdecydowany nie wracać. To był 1985 rok. Siedziałem tam tydzień, u koleżanki, która wyjechała wcześniej. Ona mówi: to

jak? A ja mówię: jedziemy na policję oddać paszport. I pojechaliśmy tam, gdzie ona oddawała swój. Ale okazało się, że tam już tego nie załatwiają, że to załatwia inna policja. To jakoś tak weekendowo wypadło i tam już było zamknięte. A następnego dnia miałem prom do Polski. I całą nieprzespaną noc kombinowałem. Myślałem sobie, że słabo to wytrzymam. Ponieważ nie uniknę obozu dla imigrantów i jestem zdany na fajnych ludzi ale tylko na nich, to jest mała grupa, może 15 osób, są zajęci swoimi sprawami. A głównie zaważyło to, że wtedy byłem już żonaty, miałem dziecko i z tej krótkiej perspektywy, bo Kopenhaga - Warszawa to nie jest taka duża odległość - ale że rok na pewno, a kto wie czy nie dwa lub trzy lata, ich nie zobaczę. I wróciłem. Właściwie od tego momentu wyrzuciłem z głowy emigrację. Pomyślałem sobie: tu będę siedział i OK. A potem tak się porobiło, że *historii piorun strzelił, o wolności sen się ziszcil...*

Osiągnąwszy szczyty aktorstwa, zaczął Pan myśleć o reżyserowaniu?

O, hoho! Powiedzmy – pagórki. Reżyserowanie łączyło mi po głowie, ale tylko w momentach, gdy byliśmy w czasie pracy i widziałem, jak reżyser sobie nie radzi. A z drugiej strony doskonale wiem, że nie może być tak, że jest zbiorowa reżyseria, bo to jest wtedy masakra i nigdy się w to nie wtrącałem. Oczywiście, proponowałem jakieś pomysły, zastanawiałem się, jak ja bym to zrobił. Nie, nigdy nie miałem ambicji reżyserskich, ze względu na to, że nigdy nie chciałem dowodzić, być zawiadującym. Mnie to nie rajcowało. A teraz się znalazłem w sytuacji dyrektora... Co chwilę zdarzają się jakieś rzeczy, które trzeba rozwiązywać. Na szczęście, problemy z jakimi przychodzą aktorzy, przeważnie dotyczą terminów. Ponieważ sam to przerabiam od 25 lat, więc doskonale to rozumiem i uważam, że nie ma takiej sytuacji, żeby nie można było znaleźć wyjścia, z korzyścią dla aktora i dla teatru. No chyba, że ktoś tego nadużywa...



Wydaje się, że reżyseria jest naturalną konsekwencją dla kogoś, kto osiągnął ten etap aktorstwa. Pan w aktorstwie osiągnął już wszystko...

Nie wszystko. Na przykład chciałbym zagrać Króla Leara, którego nie mogę jeszcze zagrać, bo jestem za młody. Jeszcze z pięć lat...

... W sensie aktorskiej popularności, uznania, rozpoznawalności. Powinien Pan mieć zaspokojoną męską i aktorską próżność.

Nie wiem, czy próżność... Bywa, że jestem zaskoczony i potem odpowiadam sobie, że jestem idiotą. Czym jestem zaskoczony? Przecież bywało, że jednego dnia trzy razy moja gęba pokazywała się w telewizji. Ale nie poświęcam temu czasu. To, co lubię w sobie uprawiając ten zawód - że w każdej nowej rzeczy, do której przystępuję, w zasadzie mam poczucie, jakbym zaczynał od początku, że nic nie wiem. Jest tak pięknie, jeśli po drugiej stronie jest ktoś, kto mnie zarazi jakąś myślą, pomysłem, a ja mogę pogrzebać - co bardzo lubię - i poszukać czegoś nowego na tej mojej bazie, na takiej fizyczności, na takim wnętrzu. Zwymiotowałbym, gdybym miał się powieleć. Moje ostatnie doświadczenie: z Agnieszką Glińską zrobiliśmy w Narodowym Poduszyciel McDonagha. Fascynująca praca, już pomijam sam materiał, moim zdaniem genialny, to jeszcze

sama praca, nic z takiego artystycznego gramolenia się w temacie, tylko dochodzenie do. Trzeba się wkręcać w zupełnie inne rejestry. To są najpiękniejsze doznania, jakie można w tym zawodzie uzyskać. A reżyseria? To musiałoby być coś... Musiałbym się zastanowić, czy warto się w to zabawić. Nie, nie mam zapisane w kajecie, że teraz, od przyszłego sezonu, będę reżyserował.

Dziękuję za rozmowę.

Fotografie Piotr Dłubak

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

DOLINA MIŁOSIERDZIA BOŻEGO

Władysław Ratusiński

Jasną Górę otaczają wieńcem kościoły i domy zakonne. Jeden z nich - to klasztor księży pallotynów i sanktuarium Miłosierdzia Bożego.

Malownicza ulica ojca Augustyna Kordeckiego prowadzi na zachód, za Jasną Górę. Wspina się, to znów zstępuje z pagórka, na wysokiej skarpie zostawiając małe domki w różanych ogródkach. W dolinie, na miejscu starej cegielni, skromny kościółek doczekał czasów, gdy kult Miłosierdzia Bożego, w formie przekazanej przez siostrę Faustynę Kowalską, stał się znany w całym Kościele i oficjalnie uznany. Przejawy tego kultu: koronka, obraz i święto - wynikają z uznanych przez Kościół prywatnych objawień Jezusa zakonnicy - mistycze, siostrze Faustynie. Obok wielkiego przesłania o ogromie miłości i miłosierdzia Boga, podkreślona jest w nich waga miłosierdzia człowieka wobec innych ludzi: w modlitwie, słowach i czynach. Jan Paweł II wprowadził tu pojęcie “wyobraźni miłosierdzia”.

“Sekretarka Bożego Miłosierdzia”, autorka sławnego “Dzienniczka”, opisującego życie duchowe i spotkania z Jezusem - siostra Maria Faustyna (Helena Kowalska), została wyniesiona na ołtarze przez “człowieka w drewnianych chodakach”. Aktem wieńczącym pontyfikat Jana Pawła II było oddanie ludzkości Miłosierdziu Bożemu w czasie ostatniej pielgrzymki do Polski, podczas konsekracji nowej świątyni w Łagiewnikach. Krakowskie Łagiewniki, do których wstępował Karol Wojtyła po drodze z pracy w kamieniołomach, urosły do rangi centrum tego kultu na skalę świata. Częstochowa natomiast ma takie sanktuarium, znane w całej Polsce, właśnie w Dolinie Miłosierdzia Bożego, za sprawą pallotynów.¹

Pallotyni - Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego (SAC) - to zakon założony przez św. Wincentego Pallottiego (1795 - 1850), zatwierdzony w 1835 roku przez papieża Grzegorza XVI jako wspólnota księży i braci, w Rzymie. Celem jest apostołstwo, działalność obejmuje różne dziedziny życia. Szybki rozwój zgromadzenia następował na przełomie XIX i XX wieku, w Europie, Azji, Afryce i obu Amerykach.

W 1907 r. powstał dom w Jajkowcach (Antoniówce koło Kochawiny), w diecezji lwowskiej. Pierwszym pallotynem-Polakiem, założycielem Polskiej

Prowincji, był ks. Alojzy Majewski (1869 -1947). Jego współpracownikami byli: ks. A. Hubner i ks. A. Zaraza, zaś pierwszym kandydatem na brata, który się zgłosił w grudniu 1907 r. - Stanisław Misiek. Już w 1908 r. rozpoczęto druk miesięcznika „Królowa Apostołów”. 11 czerwca 1909 r. Zakupiony został dom w Kleczy Dolnej koło Wadowic, na wzniesieniu, nazwany Kopcem. Właśnie w tym domu 24 listopada 2006 r. Odbyły się uroczystości inaugurujące jubileuszowy rok stulecia polskich pallotynów. A jest ich obecnie na całym świecie siedmiuset, w Polsce mają około trzydziestu placówek.

W 1911 r. ks. Majewski zakupił dom w Bochni na nowicjat, wyższe seminarium i centralę duszpasterstwa emigracji polskiej. Ks. Majewski przez 16 lat (do 1925 r.) pełnił funkcję superiora Polskiego Dystryktu Stowarzyszenia, tworzył jego struktury, sprowadził siostry pallotynki, tworzył grupy świeckich współpracowników, głosił rekolekcje, pisał, tłumaczył, redagował czasopisma, założył Wydawnictwo Księży Pallotynów. W październiku 1939 r. był więźniem Pawiaka. Pierwszym (jak dotąd jedynym) Polakiem - generałem pallotynów był współpracownik ks. Majewskiego, ks. Wojciech Turowski. Po I wojnie pallotyni polscy mieli liczne powołania, tak że w 1926 r. Polski Okręg został podniesiony do rangi Regii, a w 1935 r. Polska Regia stała się Prowincją Chrystusa Króla. W latach międzywojennych powstały domy pallotyńskie w Sucharach Warszawie, Ołtarzewie, Chełmnie i w Radomiu. W 1937 r. polscy pallotyni założyli dom w Amiens we Francji, w 1927 r. rozpoczęli pracę w Ołtarzewie, gdzie utworzyli seminarium duchowne. Okres II wojny światowej był dla wspólnoty ołtarzewskiej czasem wielkiej aktywności. Pracowało seminarium, pallotyni włączyli się w działalność konspiracyjną: uczestniczyli w akcjach sabotażu, przechowywali broń VII Rejonu AK, pomagali w zniszczeniu akt osób przeznaczonych do wywózki na roboty do Niemiec (ks. rektor Stanisław Wierzbica, ks. Franciszek Madej, kapelan AK „Czesław”, ks. Norbert Pellowski, ks. Józef Jankowski). Kazania głoszone przez pallotynów ołtarzewskich (ks. Michał Kordecki) przyciągały tłumy mieszkańców. Pallotyni byli katechetami na tajnych kompletach prowadzonych przez siostry urszulanki, udzielali pomocy potrzebującym (m. In. Wydawali chleb z własnej piekarni). Te działania przyplaciło życiem 11 księży, 2 kleryków i 11 braci. W czasie wojny zginęło 28 polskich pallotynów, wśród nich, wyniesieni na ołtarze przez Jana Pawła II błogosławieni męczennicy: ks. Józef Jankowski (zginął w Oświęcimiu) i ks. Józef Staniek (zginął jako kapelan Powstania Warszawskiego). W 1946 r. Z polskich księży, którzy

¹Ogłoszenie kościoła archidiecejalnym sanktuarium Miłosierdzia Bożego przez arcybiskupa metropolitę częstochowskiego Stanisława Nowaka nastąpiło 30 marca 1992 r.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

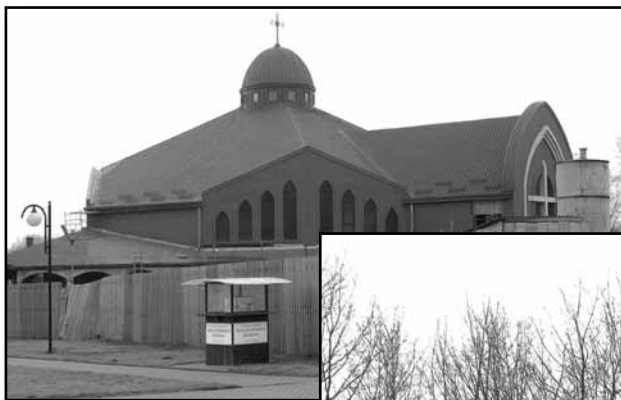
byli poza granicami kraju, powstała regia we Francji. Obecnie Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego ma w Polsce dwie prowincje: Zwiastowania Pańskiego z siedzibą władz w Poznaniu oraz Chrystusa Króla - z siedzibą w Warszawie.

W Częstochowie pallotyni osiedlili się w 1947 roku. W miejscu starej cegielni, z materiałów odzyskanych z rozbiórki zabudowań i komina, postawiono kaplicę i dom - co dało początek pallotyńskiej placówce i przyszłemu sanktuarium. Kaplicę i dom poświęcił w grudniu 1949 r. biskup Teodor Kubina, pierwszy ordynariusz diecezji częstochowskiej.

W klasztorze częstochowskim wiele lat mieszkał ks. Edmund Boniewicz. Był spowiednikiem kardynała Stefana Wyszyńskiego, znaną postacią częstochowskiego duchowieństwa, pierwszym (w latach 1952 -1958) proboszczem parafii Miłosierdzia Bożego.² Można go było spotykać, jak zmierzał rowerem na Jasną Górę albo spacerował pod zamkiem w Olsztynie. Swego czasu uczył w szkole prowadzonej przez siostry Zmarłych w III Alei Najświętszej Maryi Panny. Często gościł na falach Radia Fiat, w radiowej kaplicy odprawiał msze św., głosił katechezy. Z owych homilii i pogadań, mówionych specyficznym stylem, głosem o charakterystycznym brzmieniu, utkwiły mi w pamięci: związana z osobą kardynała Wyszyńskiego opowieść o perypetiach w podróży i skuteczności modlitwy - oraz relacje z wypraw na wschód z figurką Matki Bożej, wprowadzenia jej na Plac Czerwony i w mury Kremla. Kult Matki Bożej Fatimskiej rozwija nadal w Polsce inny pallotyn, budowniczy sanktuarium na Krzeptówkach w Zakopanem, ks. Mirosław Drozdek.

Przy okazji utworzenia w Rzymie sierocińca dla dzieci i młodzieży żeńskiej, św. Wincenty Pallotti założył również Zgromadzenie Sióstr Apostolstwa Katolickiego. Jest ono częścią dzieła o nazwie Zjednoczenie Apostolstwa Katolickiego, które skupia we wspólnym działaniu księży, braci, siostry i świeckich.

Międzynarodowe Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Apostolstwa Katolickiego posługuje w Europie, obu Amerykach, Afryce i Azji. W Polsce rozpoczęło działalność w 1935 r. Siostry prowadzą domy dziecka, przedszkola, domy dla dzieci specjalnej troski, opiekują się samotnymi i chorymi, katechizują, zapraszają dzieci, młodzież i dorosłych do wspólnot apostolskich, podejmują prace w parafiach i kuriach diecezjalnych. W Częstochowie, przy ul. Kordeckiego, w pobliżu klasztoru pallotynów, siostry pallotynki mają mały domek. Jedna z nich, sio-



stra Maria, aktywnie uczestniczy w Ruchu Odnowy w Duchu Świętym i służy charyzmatem modlitwy o uzdrowienie. Można ją spotkać na cotygodniowych środowiskich nabożeństwach Odnowy w kaplicy św. Józefa w jasnogórskich Halach, comiesięcznych nocnych czuwaniach w bazylice i dorocznych ogólnopolskich pielgrzymkach. Całodzienne czwanie na placu przed szczytem Jasnej Góry jest jednym z największych zgromadzeń pielgrzymich w ciągu roku. Biorą w nim udział setki tysięcy osób z kraju i goście zza granicy, wśród nich wybitne postaci ruchu chary-

²Obecnie proboszczem jest ks. Adam Kamizela.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

zmatycznego, duchowni i świeccy, którzy prowadzą wykłady i nabożeństwa.

Natomiast inne z dorocznych spotkań, zapisanych w jasnogórskim kalendarzu, dotyczy już ściśle pallotyńów. Wincenty Pallotti starał się o ożywianie wiary wśród ochrzczonych, o szerzenie i popieranie współpracy między duchownymi, osobami zakonnymi i świeckimi. Od początku pallotyńi w Polsce budzili apostołską świadomość wśród świeckich, w duchu św. Pallottiego: „Każdy apostołem!”. Już przed wojną było kilka tysięcy świeckich współpracowników, należących do Zjednoczenia Apostolstwa Katolickiego. I właśnie świeccy współpracownicy pallotyńscy spotykają się na Jasnej Górze przed Bożym Narodzeniem. W wypełnionej Sali Papieskiej ma miejsce wykład oraz program artystyczny, zawsze bardzo bogaty. W 2006 roku były to starannie przygotowane występy dziecięco - młodzieżowego zespołu tanecznego z Katolickiego Domu Kultury w Raclawicach. Barwne stroje, dobra choreografia, umiejętności i wdzięk młodych tancerzy przedstawiających tradycyjne tańce polskie - przyciągały wzrok i wywoływały gorący aplauz. Część modlitewną stanowi zawsze nocne czuwanie w kaplicy Matki Bożej, z mszą św. O północy. Całość organizuje pełna energii siostra

Konsolata z Rudnika, gdzie siostry prowadzą dom dziecka. Zebrani na Jasnej Górze pielgrzymi chętnie wspierają składką tę ważną instytucję.

Wielką różnorodnością odznaczają się apostołskie zaangażowania i posługi pallotyńskich kapłanów i braci. Rekolekjonistów, redaktorów, animatorów ruchów apostołskich, kapelanów, duszpasterzy, proboszczów i wikariuszy, katechetów, prefektów, wychowawców, profesorów, zakrystianów, furtianów, lekarzy, stolarzy, piekarzy, ogrodników, budowniczych i ekonomów, misjonarzy ludowych, czcicieli Maryi z Fatimy i Miłosierdzia Bożego, prekursorów Apelu Jasnogórskiego i działalności hospicyjnej, biskupów, apostołów budzących laikat według wskazań II Soboru Watykańskiego.³

W tej bogatej i różnorodnej pracy pallotyńi idą śladem swego założyciela. Wincenty Pallotti ukończył studia doktoratami z teologii i filozofii w 1818 r. Przyjął święcenia kapłańskie 16 maja 1818 r. Pracował wśród młodzieży, niosąc pomoc duchową i materialną. Przez dziesięć lat (od 1819 r.) był korepetytorem w uniwersytecie Sapienza, przez trzynaście lat (od 1829) - ojcem duchownym Seminarium Rzymskiego. Pomagał biednym, chorym, opuszczonym; założył instytucje charytatywne, sierocińce, domy po-



³Ks. Radosław Herka, W 100-lecie dzieła pallotyńskiego na polskiej ziemi, Apostoła Miłosierdzia Bożego, nr 1 (53) 2007.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



krajowe i zagraniczne (Częstochowa "Apostolos", Warszawa), a także Duszpasterstwo Ludzi Morza (Ośrodek "Stella Maris") i duszpasterstwo bezdomnych. Zajmują się działalnością społeczną. Prowadzą hospicja (Gdańsk, Radom, Szczecin), Katolicki Ruch Antynarkotyczny "Karan", Wspólnotę trudnych małżeństw "Sychar", Fundację SOS Obrony Poczętego Życia, doradztwo

mocy; otaczał duchową opieką żołnierzy, robotników, studentów i więźniów. W 1842 r. Został duszpasterzem wojskowym w Rzymie, a w 1844 r. przyjął obowiązki kapelana szpitala Cento Preti. Był rektorem rzymskiego kościoła Santo Spirito. Popierał i ożywiał bractwa i zrzeszenia wiernych; zajął się religijną formacją świeckich, zakonników i duchownych; popierał współpracę między nimi. Poświęcał się religijnemu kształceniu młodzieży w szkołach wieczorowych i organizacjach młodzieżowych; prowadził misje ludowe w parafiach; był niezłomnym i poszukiwanym spowiednikiem, a także kierownikiem duchowym w seminariach i w klasztorach żeńskich.

Pallotyni zajmują się w Polsce duszpasterstwem parafialnym i akademickim; prowadzą szkoły katolickie, rekolekcje i misje parafialne, obozy, rajdy i pielgrzymki piesze. Pracują wśród chorych i więźniów, są kapelanami w wojsku i policji, w harcerstwie i zgromadzeniach żeńskich. Prowadzą domy rekolekcyjne i sanktuaria (Maryjne: Czarna, Hodyszewo, Łęgowo, Zakopane; Miłosierdzia Bożego: Częstochowa, Ożarów Mazowiecki; Pierwszych Męczenników Polski - Międzyrzecz) oraz duszpasterstwo pielgrzymkowe



"Open space", świetlice socjoterapeutyczne, poradnie psychologiczne, przychodnie i apteki. Pracują również naukowo: na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, w Instytucie Teologii Apostolstwa oraz w Instytucie Statystyki Kościoła Katolickiego.

Ksiądz Pallotti ożywiał działalność misyjną. W 1837 r. zaczął starania o założenie Kolegium Misyjnego. Pallotyńskie placówki misyjne znane są dziś na całym świecie. Również polscy pallotyni prowadzą pracę w wielu krajach: w Rwandzie i Brazylii, w Papui - Nowej Gwinei, Korei Południowej, Ukrainie, Austrii, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Włoszech, Portugalii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Białorusi, Słowacji, Meksyku, Kongo, Wybrzeżu Kości Słoniowej, Kolumbii i Wenezueli.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Św. Wincenty Pallotti od 6 stycznia 1836 r. urządzał uroczystości Oktawy Epifanii jako wyraz jedności i powszechności Kościoła. To jedna z inicjatyw w chrześcijaństwie, które doprowadziły do obecnych Tygodni Modlitw o Jedność Chrześcijan. Byłem kiedyś w częstochowskim kościele pallotyńskim na ekumenicznym nabożeństwie z udziałem duchownych Kościołów chrześcijańskich, w czasie którego kazanie wygłosił proboszcz parafii ewangelicko - augsburskiej.

Ks. Wincenty Pallotti opracowywał teksty religijne, popierał apostołstwo słowa drukowanego. Niezmiernie istotna w działalności Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego jest praca wydawnicza. Bardzo zasłużonym Wydawnictwem "Pallottinum", które rozpoczęło pracę w 1948 r. W Poznaniu, od lat kieruje ks. Stefan Dusza. Wystarczy tu wspomnieć, że to właśnie "Pallottinum" wydało Biblię Tysiąclecia. Temu wydawnictwu powierzono także wydanie ksiąg liturgicznych w języku polskim po soborowej reformie liturgii. Pallotyńskim wydawnictwem jest także "Apostolicum" (Ząbki). Pallotyni wydają liczne czasopisma (m.in. "Królowa Apostołów" i "Miejsca Święte").

Pallotyni prowadzą też księgarnie. W Częstochowie jest to Instytut Maryjny, na rogu ulic Siedmiu Kamienic i św. Barbary, w którym oprócz różnego rodzaju dewocjonaliów, obrazów, sprzętów i szat liturgicznych, można znaleźć bogaty wybór wartościowej literatury religijnej. Książki tu oferowane mają bardzo różnorodny charakter i pochodzą z różnych wydawnictw. Są wśród nich jednak, niestety, i takie, które zadziwiająco odbiegają od współczesnego nauczania Kościoła, a zwłaszcza nauczania i przykładu Jana Pawła II. Obecności antyżydowskich pozycji, czasem wręcz świadczących o psychicznych skrzywieniach ich autorów, nie da się wytłumaczyć troską o prawdę, o wolność słowa, pluralizmem opinii czy sprzeciwem wobec politycznej poprawności. Jest to tym bardziej przykre w katolickiej księgarni, w bezpośrednim sąsiedztwie Jasnej Góry. Książki te, choć nieliczne, tu wyeksponowane mogą stwarzać mylne

wrażenie, że takie właśnie jest stanowisko Kościoła.

Skoro już mowa o stosunku do Żydów, dobrze będzie w tym miejscu zauważyć, że we wspomnieniach Władysława Bartoszewskiego, w kontekście opisu działań tych środowisk katolickich, które nosły Żydom pomoc w czasie wojny, a w programowych wypowiedziach przeciwstawiały się antysemityzmowi - pojawia się obok Zofii Kossak - Szczuckiej postać pallotylna, ks. rektora Franciszka Paulińskiego, jednego z założycieli wspólnoty pallotyńskiej w Ołtarzewie. A z najnowszych pallotyńskich inicjatyw warto

wspomnieć o przygotowanej do druku "Księdze Pamięci". Wydana po raz pierwszy w 1959 r. w Tel-Awivie, napisana została w języku hebrajskim i jidisz przez Żydów, którzy przed II wojną światową mieszkali w Sierpcu. "Księga" zawiera historię tamtejszej gminy żydowskiej oraz samej miejscowości. Tłumaczenia dokonał Abraham Nawes. Inicjatorem przedsięwzięcia jest pallotyn, ks. Jan Oleszko. Pełne wydanie "Księgi" przewidziano na rok 2007.

Gdy się mówi, choćby tylko fragmentarycznie, o pracy polskich pallotynów, nie sposób pominąć dzieła, które odegrało ogromnie ważną rolę w polskim życiu kulturalnym, intelektualnym, artystycznym II połowy XX wieku - i we wprowadzaniu II Soboru Watykańskiego w życie Kościoła w Polsce. Chodzi o wydawnictwo Editions du Dialogue, utworzone w 1966 r. Oraz założone w 1974 r. przez

ks. Józefa Sadzika Centrum Dialogu Księży Pallotynów (Centre du Dialogue) przy ulicy Surcouf w Paryżu. Centrum było za czasów PRL „najważniejszym bezsprzecznie ośrodkiem swobodnej myśli dla intelektualistów, polityków i artystów przybywających z Polski. Ośrodek ten i redakcja „Kultury”, z którą ksiądz Sadzik i jego następcy, ksiądz Zenon Modzelewski, utrzymywali serdeczne stosunki, to były dwa serca ówczesnego polskiego Paryża”.⁴ Na ulicę Surcouf zapraszano ludzi związanych z ruchem demokratycznym w kraju, bez względu na ich światopogląd i stosunek do Kościoła. „Zdarzało się, że brano księżom pallotynom za złe ich zbytnią – zdaniem



⁴Julia Hartwig, Miejsce przy oknie. Pamięć chce być zapisana, Więź, nr 4 (510), kwiecień 2001, s. 197 - 198.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



niektórych – tolerancję w doborze prelegentów. Ale księża pallotyni wiedzieli dobrze, że wszelka cenzura byłaby tutaj zgubna. Rozumiano, że instytucja prowadzona przez ludzi Kościoła, która stoi otworem przed wszystkim, co ciekawe i wybitne, nabiera ogromnej siły atrakcyjnej, przyciąga i budzi podziw swoją otwartością⁵. Wielu intelektualistów, twórców, artystów z Polski i emigracji związało się z tym ośrodkiem, odwiedzało go, wygłaszało tu prelekcje, dyskutowało, przedstawiało swoje dzieła. W wieczorach u księży pallotynów uczestniczyli: Kazimierz Brandys, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Wojciech Karpiński, Artur Międzyrzecki, Julia Hartwig, Krzysztof Rutkowski, Adam Zagajewski, Zbigniew Herbert, kardynał Karol Wojtyła, kardynał Jean-Marie Lustiger, Lech Wałęsa, Czesław Miłosz, Stefan Kisielewski, Jerzy Turowicz, Stanisław Stomma, Konstanty Jeleński, Andrzej Kijowski, Sławomir Mrożek, Adam Michnik, Tadeusz Konwicki, Józef Czapski, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wajda, Jan Leberstein, Krzysztof Pomian i wielu innych. Ta litania nazwisk mówi sama za siebie. Było to nie do przecenienia otwarte miejsce spotkania - właśnie swobodnego, niemożliwego w warunkach PRL, dialogu - różnych poglądów i postaw, Kraju i Emigracji.

⁵tamże.

⁶tamże.

⁷tamże.



Na okładce sześćsetnego numeru miesięcznika „Nasza Rodzina” (wrzesień 1994), z okazji pięćdziesięciolecia wydawanego przez pallotynów pisma oraz dwudziestolecia istnienia Centre du Dialogue – znajduje się zdjęcie Jana Pawła II i księdza Józefa Sadzika, wówczas superiora pallotynów w Paryżu. „Papież położył rękę na ramieniu księdza Sadzika, który trzyma w dłoni książkę; jest to Księga Psalmów w przekładzie Czesława Miłosza”⁶ Ksiądz Sadzik, mający wykształcenie filozoficzne, podobnie jak Papież, zajmujący się fenomenologią, autor książki „Estetique de Martin Heidegger”, za którą otrzymał doktorat na uniwersytecie we Fryburgu – był człowiekiem obdarzonym ogromną kulturą osobistą, wrażliwością na sztukę i darem zaprzyjaźniania się. To właśnie on zachęcił Czesława Miłosza do przetłumaczenia m. In. Księgi Psalmów, Księgi Hioba i Apokalipsy, wydanych następnie z ilustracjami Jana Lebersteina. Miłosz zaś poprosił księdza Sadzika o napisanie wstępu do swojej „Ziemi Ulro”. Z inicjatywy księdza Sadzika powstały słynne witraże w kaplicy pallotyńskiej zaprojektowane przez Jana Lebersteina, a w ich sąsiedztwie znalazła się rzeźba Aliny Szapocznikow.

Jedną z uczestniczek spotkań, poetka Julia Hartwig, która znalazła się tam wraz z Arturem Międzyrzeckim, dzięki Zbigniewowi Herbertowi, wspomina, że w domu na Surcouf przyjmowano twórców z Polski jak przyjaciół, opiekowano się w chorobie Haliną Mikołajską. Wspomina również o modlitwach na cmentarzu Montmorancy za bohaterów Wielkiej Emigracji, a także za zmarłych w XX wieku Aleksandra Wata i Romana Palestra. Księża pallotyni prowadzili też w Paryżu dom dla młodzieży polskiej.⁷ w „Editions du Dialogue” ukazywały się cenne pozycje, wydano dwie ważne serie wydawnicze: „Świadkowie XX wieku” i „Znaki czasu”. Tam właśnie wyszła m. In.

książka Edwarda Raczyńskiego “Czas wielkich zmian” i Lidii Ciołkoszowej “Spojrzenie wstecz”. Dzieło księdza Sądziaka kontynuował po jego śmierci ksiądz Zenon Modzelewski. “Editions du Dialogue” wydawało również i wysyłało do kraju – pokonując wielkie trudności ze strony ówczesnych władz polskich – literaturę religijną, brewiarze, modlitewniki, Pismo Święte.

Z pallotyńskiego Paryża wracamy do Częstochowy. Częstochowska Dolina Miłosierdzia Bożego w ostatnich latach zapelnia się dużymi budowlami. Na rozległym terenie za kościółkiem powstał plenerowy ołtarz - kaplica (według projektu architekta z Krakowa, Jana Mazura, autora znanych częstochowskich kościołów: św. Wojciecha, Matki Boskiej Zwycięskiej przy ul. Słowackiego. Najświętszego Serca Pana Jezusa na Stradomiu). W tej kaplicy umieszczono figurę Jezusa Miłosiernego, dar kościoła w Meksyku dla Kościoła w Polsce, przywiezioną w 1994 r. Z diecezji Nezahaloyotl p.w. Bożego Miłosierdzia w Meksyku. Głównym inicjatorem był biskup Jose Maria Hernandez Gonzales. Statua waży blisko 600 ton, ma około 3 m wysokości. Uroczyste przekazanie i poświęcenie odbyło się z udziałem kardynała Józefa Glempa, Prymasa Polski. Polscy pallotyni prowadzą w Meksyku ośrodek kultu Miłosierdzia Bożego w Tenango del Aire, który został przez tamtejszego biskupa w 2002 r. uznany jako sanktuarium.

Za kaplicą z figurą Jezusa Miłosiernego wznosi się duży gmach klasztoru, dość interesujący architektonicznie. (W tym gmachu, od strony ulicy, mieści się apteka, ogólnie dostępna). Częstochowscy pallotyni, oprócz pracy parafialnej, prowadzą rekolekcje, Wieczniki Miłosierdzia Bożego i dni skupienia dla dorosłych, młodzieży i dzieci (jest tu dom rekolekcyjny) - a także misje i rekolekcje w parafiach, połączone z intronizacją obrazu Jezusa Miłosiernego; organizują kongresy, sympozja i zjazdy czcicieli Miłosierdzia Bożego. Wydawany jest kwartalnik “Apostoł Miłosierdzia Bożego”, są rozprowadzane materiały o Miłosierdziu Bożym, głoszone konferencje dla pielgrzymów. W założeniach funkcjonowania sanktuarium jest stała dyspozycyjność do niesienia pomocy duchowej (sakrament pojednania) i materialnej (w tym także wydawanie posiłków dla biednych i potrzebujących).

Powstaje nowa świątynia, o urozmaiconej bryle, w charakterystycznych dla architektury postmodernistycznej nawiązaniach do historii. Nie można jednak zapominać o małym kościółku, zasłużonym przez lata służby. Od niego się tu wszystko zaczęło. Co prawda został on całkowicie przebudowany i rozbudowany w 1976 r., z zachowaniem jednak pierwotnej formy, bowiem oficjalnie przeprowadzano wówczas tylko remont.

Nastawa ołtarza głównego w tym kościele wykonana została – jak podaje informacja na stronie internetowej - z drewna lipowego przez artystę z Krakowa, p. Haluszkę. Umieszczono w niej (w 1952 r.) obraz Pana Jezusa Miłosiernego z podpisem “Jezu, ufam Tobie”, namalowany według wizji św. siostry Faustyny Kowalskiej przez Adolfa Hylę z Krakowa. Są tu również wizerunki: Matki Boskiej Ostrobramskiej – Matki Miłosierdzia, św. Wincentego Pallottiego, a także, wśród wotów, św. Siostry Faustyny Kowalskiej oraz, od niedawna, dwóch polskich pallotyńskich błogosławionych męczenników.

Wnętrze kościoła organizują ciekawe witraże (wykonane w 1980 r.) i stacje Drogi Krzyżowej, autorstwa Zbigniewa Łoskota.⁸ Utrzymane w żywych barwach okna witrażowe w niebanalny sposób przedstawiają ewangeliczną przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, Jezusa dobrego Pasterza, św. Wincentego Pallottiego, siostrę Faustynę. Dużą wystawę dzieł artysty przygotował w 2002 r. w Galerii Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie Marek Czarnołęski. Zbigniew Łoskot tworzył w dziedzinie malarstwa sztalugowego, grafiki, ilustracji książkowej i malarstwa ściennego. Bardzo interesująca i bogata twórczość artysty obejmuje wiele realizacji sakralnych (polichromie, mozaiki, witraże). Warto tu wymienić kaplicę św. Jana Chrzciciela w archikatedrze św. Jana w Warszawie, czy pallotyński kościół w Ołtarzewie. Jego autorstwa jest również okładka i obwoluta Biblii Tysiąclecia. Był zaprzyjaźniony z ks. Janem Twardowskim.⁹

Częstochowska Dolina Miłosierdzia ciągle się rozwija. Przybywają tu licznie pielgrzymi. Wielu nawiedza to miejsce przy okazji pielgrzymki na Jasną Górę. Kult Miłosierdzia Bożego znajduje też na Jasnej Górze swe odzwierciedlenie. Obraz Jezusa Miłosiernego został umieszczony w jasnogórskiej Kaplicy Adoracji Najświętszego Sakramentu.

Fotografie Zbigniew Burda

W tekście wykorzystano informacje podane na stronach internetowych Prowincji Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego i parafii Miłosierdzia Bożego w Częstochowie, w folderach: „100 lat pallotynów w Polsce” i „Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Częstochowie (Dolina Miłosierdzia)” oraz w artykule ks. Radosława Herka SAC „W 100-lecie dzieła pallotyńskiego na polskiej ziemi”, „Apostoł Miłosierdzia Bożego” nr 1 (53) 2007 r.

Księżom i Braciom Pallotynom, a zwłaszcza Proboszczowi ks. Adamowi Kamizeli, dziękujemy za umożliwienie wykonania zdjęć.

⁸Witraże wykonane przez Z. Kosmickiego z Poznania.

⁹Z. Łoskot, malarstwo-rysunek, folder z wystawy z cyklu „W kręgu koloryzmy polskiego”, Częstochowa, marzec 2002.

**Dzieje Biblioteki Publicznej
im. dr. Władysława Biegańskiego (I)**

PIERWSZE LATA DZIAŁALNOŚCI

Biblioteka publiczna powstała w Częstochowie w 1917 r., ale o potrzebie utworzenia takiej placówki kulturalnej w mieście mówiono już o wiele wcześniej. W miejscowej prasie („Goniec Częstochowski” z 7 maja 1916 r.) pisano: „Częstochowa od dawna odczuwała brak biblioteki publicznej, która by uprzyściplniała korzystanie wszystkim z książek”.

Warto przypomnieć, że w latach pierwszej wojny światowej, na terenach byłego zaboru rosyjskiego okupowanych przez Niemców, nastąpiło pewne rozszerzenie swobód organizacyjnych i kulturalnych. W 1916 r. W liczącej ok. 80 tysięcy mieszkańców Częstochowie działało wiele związków i stowarzyszeń posiadających większe lub mniejsze księgozbiory przeznaczone głównie dla własnych członków. Dawał się więc odczuć brak biblioteki dostępnej dla wszystkich mieszkańców miasta.

Jednym z działających w Częstochowie stowarzyszeń było Towarzystwo Opieki Szkolnej prowadzące tzw. Kursy Samokształcenia. Właśnie w gronie wykładowców na tych kursach powstała myśl zorganizowania towarzystwa, które zajęłoby się utworzeniem w mieście biblioteki publicznej. Jednym z wykładowców był dr Władysław Biegański (1857-1917) i on stał się głównym inicjatorem powołania wspomnianego towarzystwa. Dla opracowania statutu przyszłego towarzystwa powołano komisję w składzie: dr Władysław Biegański, Stanisław Biernacki, Edmund Nowak, Wacław Płodowski i Kazimierz Okuszek. Po zatwierdzeniu statutu przez władze, 2 grudnia 1916 r. Odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Częstochowie. Do zarządu TBP wybrano: dr. Władysława Biegańskiego (na prezesa), Stanisława Biernackiego, Antoniego Januszewskiego, Leona Mońkowskiego, Ludwika Mężnickiego, Kazimierza Okuszkę i Wacława Płodowskiego, a do komisji rewizyjnej: Józefa Nowińskiego, Edmunda Nowaka i Stanisława Nowaka. Już w czasie zebrania organizacyjnego kilkadziesiąt osób zapisało się na członków TBP. Postanowiono też, że dalsze zapisy będzie przyjmował Wacław Płodowski – dyrektor miejscowego gimnazjum. Zakładano, że funkcjonowanie tak ważnej dla miasta placówki kulturalnej opierać się będzie początkowo na datkach pieniężnych i darach książkowych.

W kilka tygodni później, w styczniu 1917 r., zmarł dr W. Biegański – inicjator i założyciel Towarzystwa Biblioteki Publicznej. W „Gońcu Częstochowskim” nr 24 z 31 stycznia 1917 r. można było przeczytać, że „Śmierć

śp. dr. W. Biegańskiego wyrwała nauce polskiej jednego z najbardziej zasłużonych jej pracowników. Celem złożenia należnej czci, zarząd Kursów Samokształcenia, których zmarły uczony był założycielem i prelegentem, proponuje ufundowanie w Częstochowie trwałego pomnika w postaci powołania do życia biblioteki publicznej, już zapoczątkowanej przez śp. Władysława Biegańskiego i nadania jej nazwy: Biblioteka Publiczna im. Władysława Biegańskiego”. Ta propozycja nie tylko spotkała się z przychylnym przyjęciem, ale i wzmogła ofiarności społeczną. Posypały się datki pieniężne i dary książkowe dla przyszłej biblioteki. M.in. Zarząd Kursów Samokształcenia przekazał 25 rubli oraz w formie depozytu 200 dzieł naukowych, a wdowa po zmarłym – Mieczysława Biegańska w imieniu rodziny ofiarowała dla przyszłej biblioteki 100 tomów książek naukowych. Kilkadziesiąt książek dał rejent S. Biernacki. Cenne pozycje ofiarowało także Warszawskie Towarzystwo Biblioteki Publicznej. Rósł więc księgozbiór, uzupełniany drobnymi darami wielu mieszkańców Częstochowy, a całą akcją kierowało działające już od kilku tygodni Towarzystwo Biblioteki Publicznej, którego zarząd w tym czasie stanowili: rejent S. Biernacki (wiceprezes), dr K. Okuszek (sekretarz), dyr. W. Płodowski (skarbnik), mecenas L. Mężnicki (gospodarz) oraz L. Mońkowski i A. Januszewski (członkowie).

8 lipca 1917 r. W czasie ogólnego zebrania członków Towarzystwa Biblioteki Publicznej, któremu przewodniczył S. Biernacki, dla mającej wkrótce powstać placówki kulturalnej jednomyślnie ustalono nazwę: Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie. Na bibliotekę dr S. Nowak przeznaczył pomieszczenie we własnym, parterowym domu przy ul. Teatralnej 14 (obecnie ul. Kościuszki).

Dzięki staraniom i pracy wielu członków TBP wkrótce, bo już 11 sierpnia 1917 r., odbyło się uroczyste otwarcie biblioteki z udziałem przedstawicieli władz i społeczeństwa. W dniu otwarcia księgozbiór zgromadzony na półkach i w szafach liczył blisko 1300 tomów i podzielony był na 4 działy: I – nauki społeczne, prawo, ekonomia, antropologia i etnografia, II – filozofia, historia, językoznawstwo, krytyka literacka, wychowanie i sztuka, III – przyroda, matematyka i medycyna, IV – dzieła zbiorowe, czasopisma, beletrystyka. Były to zbiory naukowe. Książek beletrystycznych właściwie nie było, bo reprezentował je tylko jeden utwór: „Szaleństwo” G. Zapolskiej. Dla zwiedzających wyłożono na stoliku katalog, którym był prawdopodobnie gruby zeszyt ze spisem książek. Regulamin biblioteki przewidywał, że może z niej korzystać każdy dorosły mieszkaniec Częstochowy za niewielką odpłatnością.

Pierwszy zarząd Biblioteki Publicznej im. dr. W. Biegańskiego tworzyli: S. Biernacki (przewodniczący), inż. L. Mońkowski (wiceprzewodniczący), dyr. W. Płodowski (skarbnik), dr K. Okuszek (sekretarz) oraz A. Januszew-

ski i J. Dziuba (członkowie zarządu). Ogólny nadzór nad biblioteką objął mec. L. Mężnicki. Niestety, nie jest znane nazwisko osoby, która zajmowała się wypożyczaniem książek, prawdopodobnie wykonywała ona te czynności za skromną odpłatnością lub społecznie.

Utrzymanie biblioteki tylko ze składek członków TBP i opłat czytelnicych stwarzało duże trudności, stąd też zarząd TBP kierował pisma do Rady Miejskiej w sprawie przyznania bibliotece zasiłku – niestety bezskutecznie. Dopiero w 1919 r., a więc już po zakończeniu pierwszej wojny światowej, biblioteka zaczęła otrzymywać subsydia od władz miejskich, ale były one nikłe w stosunku do potrzeb. Trudności finansowe rzutowały na działalność tej placówki. W 1918 r. księgozbiór powiększył się o blisko 300 tomów, i to głównie drogą zakupów, gdyż z ofiar pozyskano zaledwie kilkanaście książek. Wprawdzie liczba czytelników w tym roku wzrosła z 36 do 153, ale frekwencja w bibliotece (wypożyczalnia i czytelnia) była bardzo mała. Dziennie odwiedzało ją ok. 10 osób. Przyczyn tego trzeba się dopatrywać m.in. W tym, że księgozbiór biblioteki składał się głównie z dzieł treści naukowej, interesujących wąskie grono osób. W latach 1918-1924 księgozbiór wzrósł z 2435 do zaledwie 3100 tomów, liczba czytelników zmalała ze 154 do ok. 100, a liczba odwiedzin w ciągu roku – z 2444 do ok. 2000.

Niepomyślny rozwój biblioteki sprawiał, że już w 1923 r. zaczęto się zastanawiać nad przekazaniem tej placówki miastu. Na posiedzeniu rady miejskiej 28 sierpnia 1923 r. podjęto uchwałę proponującą zarządowi TBP przekazanie biblioteki na własność miasta z początkiem 1924 r. Zarząd TBP ustosunko-

wał się do tej propozycji pozytywnie, ale m.in. pod warunkiem, że zachowana zostanie nazwa biblioteki, powołane zostanie specjalne kuratorium czuwające nad działalnością placówki, Magistrat zatrudni na etacie bibliotekarkę i w budżecie miejskim uwzględni się fundusze na zakup książek. Warunki te zostały przyjęte, a od 1 października 1924 r. zatrudniono bibliotekarkę – Wiktorię Wolańską (1875-1960).

W dniu 4 stycznia 1925 r. W lokalu gimnazjum im. H. Sienkiewicza przy Alei NMP 56 odbyło się zebranie TBP, na którym podjęto uchwałę o rozwiązaniu TBP i przekazaniu biblioteki miastu. W protokole z tego zebrania czytamy: „Wobec tego, że ofiarność społeczeństwa nie może sprostać należytemu rozwojowi biblioteki i mając na uwadze rozwój biblioteki, ogólne zebranie postanowiło jednogłośnie rozwiązać Towarzystwo Biblioteki Publicznej w Częstochowie, a istniejącą Bibliotekę Publiczną im. dr. W. Biegańskiego przekazać Magistratowi miasta Częstochowy pod warunkami przyjętymi przez Magistrat, a zaproponowanymi przez zarząd biblioteki”.

Oficjalnie z dniem 16 marca 1925 r. biblioteka – już z nazwą Miejska Biblioteka Publiczna im. dr. W. Biegańskiego – przejęta została przez miasto, a nadzór nad dalszą działalnością tej placówki miało sprawować tzw. kuratorium, którego przewodniczącym został dyr. W. Płodowski, a członkami: M. Biegańska i L. Mężnicki (oboje z b. Zarządu TBP), M. Sidor (kierownik Seminarium Nauczycielskiego), dr Rożkowski (prezes Towarzystwa Lekarskiego) i L. Nieprzecki (delegat Magistratu).

Waldemar Tyras



Roku 1950. Biblioteka Publiczna w Częstochowie obchodziła jubileusz 25 lat działalności jako instytucja utrzymywana przez miasto. Świętowano też 25 lat pracy Wiktorii Wolańskiej - pierwszej miejskiej bibliotekarki

OGRÓD ZA MUREM

Aleksander Wierny

W ogrodzie za murem trawa była niespotykanie długa, jej żdźbła ścieliły się na ziemi jak włosy posiwiałych wrózek.

Nazywaliśmy to miejsce „za murem”, bo pokonanie rozchwanianego, zbudowanego z wapiennych kamieni ogrodzenia było rytuałem inicjacyjnym, od tej chwili należało się do podwórkowej społeczności. Teren za murem był jeszcze ograniczony płotem, za którym na działkach należących do mieszkańców pobliskiej kamienicy rosły rzodkiewki, kalarepy i marchewki, wielką ścianą fabrycznej hali „Warty” oraz kanałem Kohna, za którym także rozciągała się „Warta”, jedna z pereł - dziś martwego - częstochowskiego przemysłu włókienniczego.

Ogród za murem był ziemią niczyją, ale i niebezpieczną. Przeganiiali nas stamtąd strażnicy „Warty”, przekonani, że strzegą w ten sposób zakładowego mienia, choć nigdy nie mieliśmy zamiaru kraść. Polowali też właściciele działek – ci natomiast zostali omamieni nienawiścią przez właściciela firmy pogrzebowej, któremu przypadkowo włamaliśmy się do warsztatu. Przypadkowo, bo któregoś wakacyjnego dnia, nie planując żadnej zbrodni, postanowiliśmy zbadać grubość muru; nie na wysokości ogrodu, lecz mniej więcej tam, gdzie znajdowała się kamienica, w której mieszkali działkowcy – amatorzy. Okazało się, że jej parter należy do karawaniarza i przylega ściśle do muru. Gdy na ziemię po naszej stronie spadł ostatni wapienny, jurajski kamień, wydłubany przy pomocy żelaznego pręta, ukazała się mroczna dziura. Nasze oczy wolno przyzwyczajają się do panującej wewnątrz ciemności. Zobaczyliśmy trumny oparte o ściany. Struchleliśmy. Promień światła niespodziewanie rozciął mrok i w drzwiach do warsztatu stanął właściciel zakładu pogrzebowego.

- Co jest?! – ryknął wściekle, a my rzuciliśmy się do ucieczki.

Od tej chwili polował na nas zaciekle, zaraził też niechęcią swoich sąsiadów.

Ale nie rezygnowaliśmy. Jeśli akurat żaden wróg nie stał na straży, forsowaliśmy mur, chwiejąc się na jego szczycie jak rozkołysane wiatrem strachy na wróble i schodziliśmy ostrożnie do ogrodu, gdzie od razu musieliśmy pokonać kolejną przeszkodę, rosnące wzdłuż muru wybujałe, kłujące krzewy malin.

Dziś nie pamiętam, kto wpadł na pomysł, żeby niezwyklej, długowłosej trawy używać jako poszycia szafasów. Okrywała szkielety z uschłych gałęzi zdziczałych gruszy i jabłoni. Owoce tych drzew magazynowaliśmy we wnętrzach naszych schronień, żeby ustrzec się przed głodem. Nie pamiętam również szafasu dwu- albo trzyosobowego. Każdy z nas, chłopców

- bo dziewczynki nie ryzykowały tak niebezpiecznych przedsięwzięć, jak przeprawa przez mur - budował schronienie tylko dla siebie. Rozpełzaliśmy się po opuszczonym ogrodzie, bo inaczej nie wystarczyłoby budulca na poszczególne schronienia, wznosiliśmy rachityczne i nieco nieudolne konstrukcje z gałęzi, pokrywaliśmy je trawą i wczłógiwaliśmy się do środka.

Wedle oficjalnej wersji, którą poświadczaliśmy między sobą podczas każdej wyprawy, chodziło tylko o to, żeby nie zauważyli nas prześladowcy, szafasy czyniły nas przecież niewidzialnymi. Wyrobiliśmy w sobie nawyk pogardy dla wrogów, których z taką łatwością wyprowadzaliśmy w pole i dawaliśmy jej upust po bezpiecznej stronie muru, po zakończeniu kolejnej wyprawy.

Jednak gdy wpełzaliśmy do szafasów, gdy już zamaskowaliśmy wejścia, każdy zostawał sam na sam z odurzająco wonnymi ścianami i sufitem schronienia. Zapadaliśmy w półsny, lekkie letargi, jakby roślina miała właściwości halucynogenne. Wędrowaliśmy po młodzieńczych zaświatach, z których dziś nie pamiętam już właściwie nic (znów amnezja, która rozrasta się jak zaniedbany ogród); nic – oprócz intensywności. Dzisiaj barwy i emocje są jakby odległym echem tamtych przeżyć, są jak cienie na ścianie platońskiej jaskini. Samotni i całkowicie samowystarczalni, pełni potencji i nieświadomie już zrealizowani, spokojnie dryfowaliśmy przez długie, letnie popołudnia. Promienie słońca przedzierały się łagodnie przez zbite kłęby traw, wypełniały wnętrza szafasów zielonkawym, przejrzystym światłem.

Nikt nigdy nie odkrył naszej tajemnicy, ani cerberzy pilnujący „Warty”, ani kompania karawaniarza, choć czasami, gdy spoczywaliśmy spokojnie w swoich roślinnych kryptach, słyszeliśmy ich kroki i rozmowy. Żaden na nas nie nastąpił, nie potknął się o szafas, nie zdemaskował, jakby strzegła nas jakaś przyjazna siła.

Ta sama siła musiała nas także łączyć telepatycznymi więzami, bo gdy po kilku godzinach wypełzałem z szafasu, jednocześnie spod trawy wyrastały głowy innych chłopców. Prostowaliśmy się powoli i rozglądali węsząc jak pieski perriowe, potem powoli podążaliśmy w kierunku muru. Przebrnąwszy krzewy malin ustawialiśmy się w kolejce przed najwygodniejszym wejściem na mur, tam, gdzie wystające kamienie były najbardziej przyjazne naszym stopom i dłoniom, i gramoliliśmy się do góry jak syte misie koala.

Dziś ogrodu już nie ma, mur został wysadzony w powietrze, podobnie fabryka i nasze domy. Kanał Kohna zniknął pod warstwą gruzu i ziemi. Miała się tu powstać galeria handlowa, ale po częściowym wyrównaniu terenu jego nowi właściciele jakoś się rozmyślili. Gładki plac, z którego z rzadka wystają kupy gruzu, z wolna znów zarósł, ale zamiast trawy podobnej do posiwiałych włosów wrózek, pojawiły się osty i pokrzywy. Nasi synowie nie bawią się w tym miejscu.

Ogród istnieje tylko za murem naszej pamięci.

„KLASA”

Robert Kurpios

Antoni Nowak ruchami pełnymi elegancji zawiązał pod wykrochmalonym kołnierzykiem jedwabny krawat. Położona na krześle marynarka cierpliwie czekała na właściciela. Mężczyzna włożył ją i w pełnym rynsztunku wszedł do łazienki. W ogolone policzki jeszcze raz wklepał „Warsa” i z szerokim uśmiechem spojrzął w lustro. Był bardzo zadowolony.

Tydzień temu kupił gazetę z ogłoszeniami matrymonialnymi. Jeden anons zrobił na nim wrażenie. Kobieta była majątna, urodziwa, jej wiek owszem w sam raz, wykształcanie bardzo solidne. Panna bez dzieci, ma się rozumieć. Szybko do niej zadzwonił. Głos szalenie miły, rozsądek i piękno w wymowie. Wysoka kultura. Pomyślał, że trafił w dziesiątkę.

Zdecydowanym krokiem wyszedł z mieszkania w czteropiętrowym bloku. W bocznej kieszeni marynarki leżało zdjęcie damy, z którą umówił się o siedemnastą przed ratuszem. Po drodze wstąpił do kawiarni na drinka. Tak dla kurażu, oczywiście. „U Zenona” wybębnił dwa kielichy łyskacza i zapalił papierosa. Zniknęły ślady tremy. Uważał, że wszyscy wokół czują jego siłę przebicia. Zajrzał do portfela, w którym była niezła sumka. Kładąc na ladzie sto złotych, Antoni Nowak zastanawiał się, czy na plecach nie wyrosły mu husarskie skrzydła. Po chwili zadumy wyciągnął z kieszonki miętowy odświeżacz. Na randce trzeba zaprezentować klasę, nieprawdaż?

Stała niedaleko wejścia do magistratu. Pan Nowak spojrzął w sklepową szybę, przyglądził fryzurę i ruszył jak Fred Astaire tańczący walca. Ładna, gustownie ubrana, uśmiechnęła się.

- Magister inżynier Antoni Nowak – powiedział, ujmując dłoń do pocałunku.

- Ależ poniekąd już się znamy, panie Antoni – odparła – Aczkolwiek nie zapominajmy o dobrym wychowaniu. Alicja Karska, historyk sztuki.

Postanowili spędzić czas w wyjątkowo ekskluzywnej restauracji. Tak miło się gawędzi przy dobrym winku. Po dwóch godzinach kulturalnej rozmowy pani Karska orzekła, że dalszy ciąg spotkania odbędzie się w jej penthousie. Podchmielony magister inżynier uśmiechnął się w zachwycie.

Pokój był gustownie urządzone. Meble, dywan i obrazy miały klasę. Największe płótno było oprawione w złote ramy. Pan Nowak przyglądał mu się z dużym napięciem. Rycerze z lewej strony obrazu gonili rycerzy z prawej. Czy to nie Matejko, czasem?

Mówili już sobie per ty. Roześmiana kobieta, unosząc w górę kielich wina, wykrzyknęła:

- My, elita, musimy pozwolić sobie na odrobinę luzu. No to bach, Tosiu!

Stuknęli się lampkami. Pani Alicja nie żałowała markowego alkoholu. Dobrze już im szumiało w głowach. Po kolejnej lampce spleceni w uścisku opadli na łóżko zasłane pościelą z satyny. Krótka bielizna kobiety, widok pięknych ud był dla mężczyzny jak dźwięk werbla obwieszczającego atak. Magister inżynier ruszył do boju.

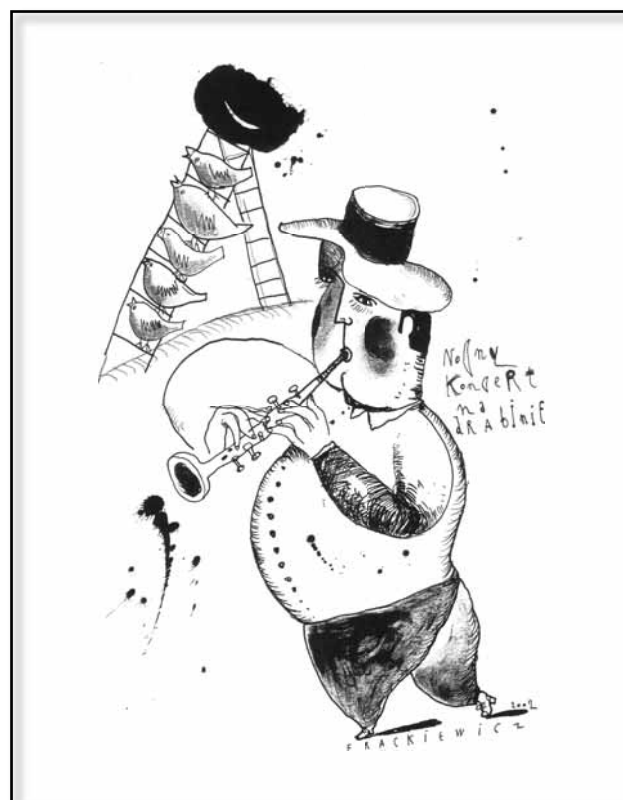
Po swawolach, upewniwszy się, że Alicja Karska śpi, wyszedł na łowy. Zaglądał do każdej szafki, komody i szuflady, szukając drogocennych przedmiotów. Gdzie ona to wszystko schowała? Matejki nie ściagnę, obudzi się. Był zły. Spodziewał się dużego łupu, a tu nic. Na szafce przy łóżku leżał japoński zegarek. Takie tam sobie Seiko na bateryjki, ale cóż? Zwinął go i bezgłośnie opuścił mieszkanie.

- Licho mi poszło – westchnął.

Chciał wrócić taksą. Jesienna noc była nieprzyjemna, a okolica wyglądała złowrogo. Wyciągnął telefon komórkowy i portfel z cielejącej skóry.

- O jasny gwint! – jego krzyk wypłoszył stado wron w promieniu kilku kilometrów.

W dłoniach trzymał warty sześćdziesiąt złotych zegarek i portfel pozbawiony przyjemnie szeleszczących stówek.



Jacek Fraćkiewicz

LIST DO ***

Anna Chowska

Aniu Droga,

Nawiązując do naszej wczorajszej rozmowy, podtrzymuję swoją opinię o skromnych, bardzo skromnych oczekiwaniach w stosunku do K.

Chciałam być w jego tle, by wzmacniać jego blask. Nie chcę z tego blasku korzystać, a tylko go wzmacniać. Być pod ręką, kiedy byłabym potrzebna i być w tle lub wcale, kiedy absorbują go ważne sprawy. Nie utrudniać, a ułatwiać mu życie. Głęboko wierzę, że to możliwe, wszakże pod jednym - najważniejszym - warunkiem „aby dwoje chciało naraz”!

Pamiętasz, jak swego czasu przeżywałam taką letnią, jak ją nazywamy, miłość do mężczyzny, który mnie rozpieszczał do granic możliwości, przy którym czułam się jak prawdziwa kobieta, niemal dama (jak lubił mawiać). Czułam się bezpieczna i zaopiekowana jak nigdy dotąd. Mówił, że gdyby spotkał mnie wcześniej, byłabym jedyną w jego życiu, twierdził, że mam same zalety i... bez pożegnania po 2 latach mnie zostawił. Ja, niezależnie od temperatury uczuć, długo noszę znajomości w sobie i gdy pół roku później go zobaczyłam, wpadłam niemal w histerię.

Tak samo wyobrażam sobie to, co mogłoby mnie łączyć z K. Dlatego nie zgadzam się z Tobą, że zamęczyłabym go swoją zaborczością. Ja myślę, że różnica naszych odczuć polega na osobowościowej różnicy naszych charakterów. Ty, nie sprawiając wrażenia osoby władczącej, dominującej, zaborczej, w istocie rzeczy taką jesteś. Ja, sprawiając wrażenie osoby despotycznej, silnej - jestem w gruncie rzeczy bardzo miękka, plastyczną istotą, w której można rzeźbić do woli. Wynika to z mego ciągłego poszukiwania miłości i potrzeby bycia kochaną, akceptowaną. Z niezaspokojonej potrzeby - jeszcze z dzieciństwa - z braku poczucia bezpieczeństwa.

Głęboko wierzę, bo ostatnio upewniłam się, że K. jest mężczyzną na tak wyrafinowanym poziomie intelektualnym, że umie to dostrzec i docenić. Od kilku lat kocham go niezmiennie, mimo sprawionych mi przykrości, które mu wybaczyłam. Przez cały czas noszę w sobie głęboko skrywane przekonanie, intuicyjne i oparte na mojej skromnej znajomości psychologii - jesteśmy dwiema połówkami jabłka.

Wiesz, przekonałam się o tym podczas ostatnich dwóch spotkań, z których pierwsze pełne było strachu z mojej strony, może nawet niechęci, a jednak po godzinie już wiedziałam, że nadal czytamy ze swoich myśli. Tylko - on się tego właśnie boi. Boi się, bo założył sobie miłość wyłącznie pod kontrolą, co w samym założeniu jest błędem. Niczego tak dalece nie można kontrolować, jak właśnie miłości. To jego serce z kamienia, które kruszyłam po drodze, to kolczatka włożona psu na szyję, by w sposób niekontrolowany nie zrobił czegoś nieoczekiwanego. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy wychodziłam i podeszłam by go pocałować na do widzenia. Patrzył na mnie z nostalgią, a gdy całowałam go w policzek, tak niby chciał mnie odsunąć, mówiąc, że przecież tyle razy mi mówił, że ma serce z ... I tu sam zaczął się śmiać. Coś pękło, coś się wymknęło spod kontroli... W chwilę później powiedziane „idź już”, brzmiało jak żal za tym, że muszę wyjść, a on nie może iść ze mną. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że reagując na mnie jak mężczyzna, opęda się ode mnie, bo się boi, że wbrew temu co sam postanowił, zakotwiczy przy mnie. Ja w tym, że reprezentujemy to samo pokolenie, upatruję siły naszych relacji. Mówiłam Ci, że oboje przywiązujemy wagę do tych samych rzeczy, wynieśliśmy z domu szacunek do tych samych wartości, jesteśmy świadkami tych samych przemian.

Nie wiem, dlaczego potrafię wyjaśnić setki różnych zachowań ludzi, sytuacji i relacji, a nie umiem poradzić sobie z nim. Właściwie umiem, bo rozszyfrowałam wszystko co do joty, ale nie chcę znać efektu odkrycia, bo sprowadza się on do gorzkiej prawdy, że nikt nie jest w stanie narużyć jego terytorium osobistego.

Zapewniam Cię, że K. Wie, że poziom moich feromonów jest stały i że jeżeli chce, to może im nadać większej intensywności. Jeżeli nie, ja przecież pozostaję „na z góry upatrzonych pozycjach”. Zachowana jest w ten sposób pewna uczciwość wzajemna, nawet jeśli gnębi mnie czasami zniewalające uczucie, że się narzucam, a przecież kobiecie to nie przystoi. I znów jest to kwestia czasów i poglądów na wychowanie.

Widzisz, trafiło mnie. Od początku wiedziałam, ile bólu może przynieść, ale prawdziwie mnie trafiło, tak jak pierwszy raz, a może jeszcze mocniej, bo jestem cięższa o lata doświadczeń. Ale było już za późno, już stałam się ofiarą. Naturalnie miałam nadzieję na ciąg dalszy i bodaj namiastkę wzajemności. Nie jest wykluczone, że i on został rażony. Ja takie wrażenie z naszego

pierwszego spotkania mam do tej pory. Do dziś nie mogę mu się oprzeć. Ale dzięki jego twarzy pokerzysty, genialnie podporządkowanym rozumowi emocjom, mogę to tylko to przeczuwać. Gdy analizuję krok po kroku wszystko co się wydarzyło, to o ile ja wygrzebać się nie umiem, on uczynił to szybko, wykorzystując swoją przewagę dyktowania warunków. Albo się podporządkuję, albo wypadnę z gry. Za wszelką cenę nie chciałam wypaść. Chciałam całować, ale całowałam tylko wtedy, kiedy dał przyzwolenie.

Mogłam w każdej chwili odwrócić się pięcie i nigdy nie wrócić. Mogłam. Nie trzymał, nie wzbraniał, nie zachęcał. Więc mogłam. Ale nie umiałam, bo wciąż była we mnie nadzieja. Gdy ona się wypali, z nią wypali się miłość. Tak to już jest. Przychodzi szybko i nieoczekiwanie, ale równie szybko i nieoczekiwanie staje się bólem, cierpieniem, balastem trudnym do odciążenia. Jeśli jest prawdziwa. Ale chyba jednak warto ją pielęgnować, bo tak pięknie jej doświadczać. Zapęnia pustkę emocjonalną, choć emocjonalnie wyczerpuje. Jako uczucie wyższe nie może usypiać, musi budzić.

Myślę, że żyję w jakimś nierealnym świecie. Marzę o K. W każdej minucie dnia, rozmawiam z nim, lub tę rozmowę planuję, wymyślam co by było gdyby... Po czym muszę ruszyć w rzeczywistość. Gdy już przyszło mi go spotkać, nastąpiło długie milczenie. Jest mi tak dobrze z nim, że nie czuję potrzeby mówić dla mówienia.

Ale muszę Ci powiedzieć, że brakuje mi normalnej, zwykłej rozmowy, takiej jaką prowadziliśmy na początku naszej znajomości, i wciąż się łudzę, że ona się zdarzy. K. działa na mnie jak narkotyk. Próbowalam go zapomnieć, zdeptać, zapłakać, nie udało mi się.

Wiesz, będąc z nim, po raz pierwszy w życiu wyartykułowałam, że od chwili naszego spotkania, jestem szczęśliwa. Widocznie do pewnych wrażeń trzeba dojrzeć, dlatego do tego momentu nie precyzowałam czy jestem szczęśliwa. Do tej pory byłam raczej zadowolona, usatysfakcjonowana, ale trudno mi było to utożsamiać z takim w pełni uświadomionym uczuciem szczęścia. On od początku podsycił atmosferę, ale skrzętnie kontrolował swoją inicjatywę. Dopuszczał do siebie, uważnie słuchał rad, ale fundował też huśtawkę emocjonalną, czasem zbyt trudną do zaakceptowania. Postanowiłam ratować siebie i w ramach tej samopomocy piszę do Ciebie...

Agnieszka Sowier-Jankowska

BITWA

**Z cyklu: straszne opowieści dla dzieci
(raczej nie na dobranoc)**

Cisza dziwnie zawisała w powietrzu. Stojące w zenicie słońce kładło piękne refleksy na grube, połyskujące, granatowe pancerze ciężkich wojsk piechoty. Skłębieni w ciasnym dole ci, co mieli rzucać sieci na przeciwnika, szukali najdogodniejszej dla siebie pozycji. Doborowa konnica, okryta różnorodnymi odcieniami zieleni i brązu, nerwowo podrygiwała w miejscu. Jak okiem sięgnąć, widać było w polu ziemniaczanym niezliczone zastępy żołnierzy w pasiastych żółto-czarnych zbrojach, lamowanych pomarańczowo bądź w malinowych żupanach.

Wiał lekki sierpniowy wietrzyk. Pobliskie łąny dorodnych, pełnych kłosów zbóż, chwiały się szemrając cicho, kiedy złote łodygi ocierały się o siebie. Gdzieś tam chaber wyzierał ciekawie i modrym okiem spoglądał na zgrupowanych. Duszny zapach rumianków dobiegał z każdym podmuchem.

Zaszeleściło w trawach. To skacząc, to polatując niczym desant spadochroniarzy, spadła nieopodal następna formacja konnych - świerszcze. Ich szeleszcząco-szemrząca pieśń wlatywała i opadała niczym werbel doboszy, zapowiadając nieuniknioną bitwę.

Gdzieś w oddali klasnęły drzwi wiejskiej chałupy. Połą drogą szło bose dziecko, trzymając w ręce spore wiadro.

Nagle wzbił się w niebo szary kształt. Zdawać by się mogło, że zawisł, doskonale zatrzymany. W chwilę potem wszystko co żyło zamilkło, dając posłuch niepozornemu królowi śpiewu. Szary skowronek rozdarł gęste od upału idealnie niebieskie niebo. Jego głos zadzwonił ostro, niczym hasło do boju. Górą, jak gdyby nic, polatywały chwiejnym trzepoczącym lotem cztery białe motyle.

Dziecko podeszło blisko do linii wroga. Nadszedł czas brania jeńców. Schwytni generałowie i zwykli szeregowcy lądowali na dnie wiadra. W miarę kolejnych strof śpiewu skowronka, naczynie wypełniało się po brzegi.

Słońce zaczęło rzucać długie cienie. Nadciągały chmury nocy. W wiadrze wściekle zgrzytały pancerze pojmanych. Nieopodal na chwiejącym się w blasku zachodzącego słońca rumianku, przysiadł świerszcz. W ostatnich tego dnia ciepłych promieniach, wygrał zapamiętałe rzewną wieczorną pieśń, przyzywając swoją ukochaną. Obojętnymi czarnymi oczyma, patrzył jak dziecko niesie pełne wiadro stonki do ogniska rozpalonego koło starej jabłoni.

Ogień wszędzie, wszędzie ogień. Jeńcy bez wyjątku trafili w płomień, a dym porwał ich dusze do nieba.

Baśnie wspólnej Europy

Janusz Piernikarski

JANEK DURNY

(baśń osiedlowa)

SCENA 1

Przed blokiem: klatka schodowa, ławeczka.

NARRATOR: Na pewnym osiedlu mieszkali ongi trzej bracia. Starszy był mądry, środkowy w sam raz, a młodszy – zupełnie głupi.

Wychodzi Starszy Brat – w garniturze, z teczką.

STARSZY BRAT: Pora jechać do biura. Ciekawe, czy wreszcie Buchalak dostarczy to sprawozdanie... *(spogląda w stronę bloku)* Jasiu, a ugotuj no przez ten czas zupę z kamieni! *(wychodzi – słychać odjazd samochodu).*

*Wychodzi Średni Brat – wąsaty, w okularach i kra-
ciastej koszuli.*

ŚREDNI BRAT: Całą noc siedziałem nad tym algorytmem. Czas najwyższy do warsztatu... *(spogląda w stronę bloku)* Jasiu, a przynieś no ze dwa wiaderka prądu! *(wychodzi – słychać odjazd tramwaju)*

*Wychodzi Janek – w swetrze, z książką. Siada na
ławce i zaczyna czytać.*

JANEK: Ja to głupi zupełnie jestem. Starszy brat skończył ekonomię, średni inżynierię, a ja – filozofię i nie ma ze mnie żadnego pożytku w domu, zagrodzie i społeczeństwie. Za to mogę się rozwijać umysłowo we własnym zakresie.

*Siedzi i czyta. Nagle wpadają trzej dresiarze. Po-
ganiają przed sobą Dyrektora.*

DYREKTOR: Panowie, proszę! Nie mam nic wartościowego, jestem dyrektorem szkoły!

DRESIARZ I: Zamknij mordę, dziadu!

DRESIARZ II: To dyrektor szkoły! *(tlucze go oburącz)* Za to, że mnie przetrzymali na drugi rok!

JANEK: Widzę dresiarzy, którzy biją jakiegoś starszka. Ale nie ulegajmy pozorom, bo wielu myślicieli, poczynając od Greków, stwierdza, że zmysły są omylne. Może to na przykład starszka bije dresiarzy.

DYREKTOR: Litości! Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!

DRESIARZ II: Po ryju go!

Dresiarz III kopie Dyrektora w głowę.

JANEK: Czy powinienem zainterweniować? Zdaniem Tolstoja, złu nie należy przeciwstawiać się siłą. Można to argumentować, iż stosowanie przemocy zawsze jest złem, niezależnie, przeciw komu się ją skieruje.

DRESIARZ I: Chłopaki, mam pomysł! A może od razu zasuniemy do piachu tego starego?

DRESIARZ II: Ty to masz łeb, Mariuszu!

JANEK: Interesujące stanowisko zajmuje filozofia chrześcijańska. Z jednej strony drugi policzek – z drugiej wolna wola. Zdając się na własny osąd, będę interweniować. *(podchodzi do dresiarzy)* Zostawcie faceta!

DRESIARZ I: A co, chcesz w ryj?

JANEK: Żebyś zaraz ty nie dostał!

DRESIARZ II *(podwija rękawy)*: No to zobaczymy, kto lepszy!

DRESIARZ III: Chłopaki, zostawcie! Ja go znam! Całymi dniami siedzi na ławce i czyta książki!

DRESIARZ I: O w rzyć! Wariat! Uciekajmy!!!

Dresiarze uciekają. Janek pomaga Dyrektorowi wstać.

DYREKTOR: Jestem dyrektorem szkoły. Dziękuję ci, chłopcze, żeś wyratował mnie z rąk tych barbarzyńców. Żeby to jeszcze były wszystkie moje problemy...

JANEK: Czy mogę pomóc w czymś jeszcze? Ostatecznie nie mam nic do roboty.

DYREKTOR: Prezes spółdzielni porwał moją córkę Katarzynę. Sprowadź ją do mnie, a nagroda cię nie minie.

JANEK: Da się zrobić, panie dyrektorze *(wychodzi)*.

DYREKTOR: Poczekaj, mam coś, co może ci się przydać. *(daje Jankowi etui)* Ta etuja zawiera srebrny nóż, mosiężny widelec i złotą łyżkę. Idź, w imię Boże! I bez dziewczyny nie wracaj!

SCENA 2

Pub osiedlowy. Janek siedzi przy stole, z kuflem piwa.

JANEK: No to w ładną historię się wpakowałem! Jeżeli bowiem prezes porwał córkę dyrektora jako prezes – to stanę przeciwko całemu zarządowi spółdzielni. Jeśli zaś porwał ją jako osoba prywatna, to nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.

Dosiada się Pijak.

PIJAK: A czegoż to wielmożny pan taki markotny?

JANEK: Zostaw mnie, chorobo społeczna.

PIJAK: Panie, nie odtrącaj mnie jako tego psa. Postaw coś do wypicia, a może się przydam.

JANEK: Kelnerze! Metr piwa dla tego pana!

Kelner przynosi metrową rurę z piwem.

PIJAK *(po wypiciu części piwa)*: Wygląda mi wielmożny pan na takiego, co szuka prezesa spółdzielni. Ja niestety nie wiem, gdzie on jest, ale mam coś takiego *(podaje Jankowi kompas)*. To jest czarodziejski kompas, prosto z Zakładów Produkcji Artykułów Baśniowych w Miliczu. Normalnie kręci się w cały świat, ale starczy walnąć go pięścią, aby zaczął pokazywać kierunek, w którym wielmożny pan chce iść.

JANEK: Dziękuję ci, pijaczyno.

Wychodzi, zostawiając Pijaka z resztą piwa.

SCENA 3

Warsztat. Baba Jaga w masce lutowniczej, zajęta spawaniem. Wchodzi Janek z kompasem w dłoni.

JANEK: A dokąd to mnie zaprowadził ten rzekomo czarodziejski kompas?

BABA JAGA: Kto śmie przeszkadzać mi w pracy?

JANEK: Jestem Janek Durny, a szukam porwanej córki dyrektora szkoły. Z kim mam zaszczyt?

Baba Jaga zdejmuje maskę.

JANEK: Aha, już poznaję. To przecież Baba Jaga! Żywcem taka sama, jak podają we wszystkich źródłach: cała w pierzu, siedzi w mózdzierzku, język w norze, nosem orze.

DRAMAT

BABA JAGA: Powinam teraz cię upiec i zjeść, ale jakiś taki masz odekolon, że na pewno będziesz niesmaczny.

JANEK: W tej chwili i tak mam inne plany.

BABA JAGA: Aha, chodzi o tego grubasa... *(grzebie w leżącej z boku stercie rozmaitego rupiecia)*. Masz tutaj najnowszą linę z kotwicą. Trzeba zawołać: „Lino czarodziejska, nieeuropejska, wynalazku najnowszy, daj mi trafić tam, gdzie trza i wtedy, kiedy trza!” I rzucić ją, a musowo się zaczepi.

JANEK: Dlaczego „nieeuropejska”?

BABA JAGA: Ano dlatego, że to produkt japoński. A teraz idź, nie przeszkadzaj w robocie, bo mi lut wystygnie.

SCENA 4

Przed blokiem Prezesa. Katarzyna na balkonie. Wchodzi Janek, zaplątany w linę.

JANEK: No i nieźle mi się ta lina przydała, dajcie spokój.

KATARZYNA: Młodzieńcze, ratuj! Porwał mnie prezes spółdzielni mieszkaniowej!

JANEK: A więc to tutaj. Jednak kompas nie skłamał! *(do Katarzyny)*. Które to mieszkanie?

KATARZYNA: Taka wiedza nic ci nie da, bo drzwi i tak są zamknięte, a ja nie mam kluczy.

Janek wyplątuje się z liny.

JANEK: Lino czarodziejska, nieeuropejska, wynalazku najnowszy, daj mi trafić tam, gdzie trza i wtedy, kiedy trza!

Lina leci w górę i zaczepia się o balustradę balkonu. Janek wchodzi na górę.

KATARZYNA: Wejźmy do środka, zaraz wszystko opowiem.

SCENA 5

W mieszkaniu. Katarzyna i Janek piją herbatę.

JANEK: Skoro nie masz kluczy do drzwi, uciekajmy przez balkon. Tylko niech nas straż miejska nie przyuważy, bo będziemy się tłumaczyć...

KATARZYNA: Nie tak szybko! Prezes codziennie przysyła hydraulika, aby mnie doglądał. Powinien tu zaraz przyjść, a wtedy będą kłopoty. *(Słychać klucz w zamku)* Boże drogi! To on!

JANEK: Schowaj się za zasłoną, a ja poradzę sobie z hydraulikiem.

Katarzyna chowa się, zaraz potem wchodzi Hydraulik, z kluczem francuskim. Rozgląda się, wreszcie zauważa Janka.

HYDRAULIK: A ty tu czego się szlajasz, robaczku?!

JANEK *(pokazuje w górę)*: O, monady!

HYDRAULIK: Gdzie?

Janek wbija mu w głowę srebrny nóż. Hydraulik osuwa się na ziemię, a Janek zabiera mu klucz francuski.

JANEK: Wychodź. Klucz już mamy.

KATARZYNA: Ale to nie taki! To klucz francuski!

JANEK: Hydraulik jakoś sobie jednak otworzył. O, w drugiej dłoni trzyma klucze!

KATARZYNA: W tych drzwiach jest specjalny

zamek: Takimi kluczami można je otworzyć tylko z zewnątrz. Prezes wszystko dobrze obmyślił.

Słychać klucz w zamku.

KATARZYNA: To brat hydraulika, elektryk!

JANEK: Nic się nie bój. Schowaj się za kotarę, a ja się z nim rozprawię.

Wchodzi Elektryk – taki sam jak Hydraulik, tylko większy i z kawałkiem przewodu elektrycznego wgarści. Rozgląda się, zauważa zwłoki Hydraulika, potem spostrzega Janka.

ELEKTRYK: To ty zabiłeś mi brata! Teraz zapłacisz za to! *(zamierza się przewodem)*.

JANEK *(pokazuje za plecy Elektryka)*: Patrz pan! Uniwersalia!

ELEKTRYK: Gdzie?

Janek wbija mu w głowę mosiężny widelec. Elektryk okrąża dwa razy pokój, staje na jednej nodze i pada. Janek zabiera przewód. Przychodzi Katarzyna.

KATARZYNA: Schowajmy zwłoki. Otwórz ten tapczan.

Janek otwiera tapczan, wraz z Katarzyną wrzucają do niego Hydraulika i Elektryka.

JANEK: Już nie zwlekajmy. Pora wiać, zanim przyjdzie ktoś jeszcze.

Odgłos klucza w zamku.

KATARZYNA: Za późno! To gazownik, najsilniejszy z nich! Nie ma żadnego życia duchowego i filozofią go nie pokonasz.

JANEK: Idź do drugiego pokoju, a ja schowam się za kotarą.

Chowają się. Wchodzi Gazownik – taki sam, jak poprzedni dwaj, tyle że większy i z rurą od gazu w ręku. Rozgląda się naokoło i węszy.

GAZOWNIK: Tfu, tfu! Inteligentem mi tu zalatuje!

Janek wychyla się zza zasłony i wbija mu w głowę złotą łyżkę. Gazownik bełkocze, zaczyna zadawać rurą ciosy na oślep, obiega pokój pięć razy, staje na rękach, pada. Janek zabiera mu rurę od gazu. Katarzyna wychodzi z ukrycia.

KATARZYNA: Spójrz! On ma inny klucz niż tamci!

JANEK: W takim razie zbieraj suknie, zbieraj sweterki i uciekamy stąd. Zaraz wrócisz do swego ojca.

KATARZYNA: Jest jeszcze jedna sprawa. Prezes ma przeciw nam kompromitujące materiały. Oczywiście nieprawdziwe, ale kto to dzisiaj odróżnia? Trzeba mu to odebrać.

JANEK: Chyba go przekonam.

Wpychają Gazownika do tapczanu i wychodzą.

SCENA 6

Biuro prezesa spółdzielni mieszkaniowej. Prezes, gruby i łysy, siedzi i pali cygaro.

PREZES: Jak ja lubię tę pracę: siedzieć w biurze, rozpatrywać negatywnie prośby lokatorów, podpisywać decyzje o podwyższeniu czynszu... Zima idzie, trzeba wydać rozporządzenie o zakratowaniu okien w piwnicach, by koty nie mogły wchodzić. A zresztą, co się będę szczypał... Niechaj zakratują w ogóle wszystkie okna.

Wchodzi Janek i Katarzyna.

PREZES: Katarzyna? A co ty tu robisz? I do tego jeszcze Janek Durny?

JANEK: Proszę uprzejmie pana prezesa o wydanie nam spreparowanych materiałów, obciążających dyrektora szkoły i jego córkę.

PREZES: Prośby tylko na piśmie.

JANEK: Proszę bardzo (*wyjmuje z zanadru podanie*).

PREZES (*przegląda podanie*). Rozpatrzone negatywnie. (*wstaje*). Ale ponieważ jakoś się dowiedzieliście, i do tego krzyżujecie moje plany, muszę was ze świata zgładzić.

Prezes nadyma się, aż staje się dwa razy taki, jak był. Rusza na Janka.

JANEK: Katarzyno, za drzwi! Wejdiesz ponownie, jak porozmawiam z panem prezesem!

PREZES: Nikt nie jest w stanie przetrzymać pięści administracyjnej!

Katarzyna ucieka. Prezes zadaje Jankowi cios lewą ręką, ale Janek blokuje jego pięść kluczem francuskim i przykreca śrubę.

PREZES: Aaa! Nie taki już durny jesteś! Ale mam jeszcze jedną pięść!

Zadaje cios prawą ręką. Janek chlasta go odsłoniętym przewodem, razi prądem. Ręka opada bezwładnie.

JANEK: Panie prezesie! Nie wszystko stracone! Proszę oddać materiały, a puszczyć pana wolno!

PREZES: Jeszcze czego! Lokator nie będzie mnie, prezesowi, dyktował warunków!

Wypuszcza z ust strumień gazu. Janek podstawił mu rękę i błyskawicznie odwraca drugim końcem. Obłok trafia w prezesa. Schodzi z niego powietrze i pada z hukiem na podłogę.

JANEK: To koniec! Zabiliśmy tyrana!

KATARZYNA: Teraz znajdziemy materiały (*siada przy biurku, grzebie w szufladzie, wyciąga teczkę*) Oto ona!

JANEK: Spalmy ją, a potem zabiorę cię do dyrektora, ojca twego! Jednak – nie wiem czemu – chce mi się strasznie spać. Pewnie od tego gazu.

Zasypia. Katarzyna przez chwilę drze i gniecie dokumenty, potem zasypia także. Wchodzą bracia Janka.

STARSZY BRAT: Rany boskie, ale tu bajzel!

ŚREDNI BRAT: Zobacz, Janek tu leży! Ciekawe, czy on to wszystko sam?

STARSZY BRAT: I do tego jakaś panna obok. Czeka, zajrzę do tej dokumentacji, może się dowiemy, o co poszło. (*przegląda dokumenty na biurku, zagląda też w te pogniecionie*). Słuchaj! Wygląda na to, że prezes porwał córkę dyrektorowi szkoły – to właśnie ta panna – i chciał go jeszcze szantażować, gdyby dyro miał coś przeciwko.

ŚREDNI BRAT: To weźmy ją i zanieśmy do dobrodzieja dyrektora, że niby to my ją uratowaliśmy. A Janek, jak się obudzi, to niech filozofuje, co z tym dalej.

Biorą Katarzynę i wychodzą.

SCENA 7

Przed blokiem. Dyrektor, Katarzyna oraz bracia Janka siedzą na ławce.

DYREKTOR: Strasznie panom dziękuję za pomoc. Nie wiem tylko, jak się mogę odwdziżyć? Córka wprowadzi nieco oszołomiona od tego gazu

i trochę czasu minie, zanim dojdzie do siebie, ale tym niemniej – świetnieście się spisali.

STARSZY BRAT: W mojej pracy menedżera konieczna jest umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji.

ŚREDNI BRAT: Inżynier także powinien dawać sobie ze wszystkim radę. No i dałem!

Wchodzi Janek.

JANEK: Witam! Jak pan widzi, panie dyrektorze, spełniłem swoje zadanie.

STARSZY BRAT: Co znaczy: spełniłem zadanie? To my przecież uratowaliśmy pannę.

JANEK: Nic podobnego. Ja ją uwolniłem, ja też zabiłem strasznego prezesa.

ŚREDNI BRAT: Uważaj, bo uwierzę!

STARSZY BRAT: Lepiej idź na pocztę kupić worek kartofli!

DYREKTOR: Czekaćcie, Katarzyna się budzi. Dziecko moje, kto właściwie cię uratował?

KATARZYNA: Janek, przez niektórych zwany Dumym.

JANEK: No widzicie?

STARSZY BRAT: Ona sama nie wie! Gaz ją otepił i nie pamięta.

DYREKTOR: Jak teraz to rozstrzygnąć?

KATARZYNA: Spytać hydraulika, elektryka i gazownika, siepaczy prezesa. Co się z nimi stało?

STARSZY BRAT: Elektryka? To jakieś halucynacje!

ŚREDNI BRAT: Cichaj, głupi! Zabiliśmy ich, wszystkich trzech. Hydraulik leży na dnie rzeki, elektryk w lesie, a gazownik na polu żyta.

JANEK: Wszyscy trzej są w tapczanie w mieszkaniu, gdzie prezes więził Katarzynę. Ja ich tam umieściłem.

STARSZY BRAT: W jakim tapczanie, co ty gadasz?

DYREKTOR: To można sprawdzić. (*wyjmuje telefon komórkowy*) Halo, policja? Tu dyrektor szkoły. Wiecie, ten, któremu córkę porwali. Czy na miejscu przestępstwa były jakieś zwłoki? Gdzie? Dziękuję bardzo. (*chowa telefon*) Rzeczywiście, trupy siepaczy spoczywają w tapczanie. Hydraulik ma w głowie srebrny nóż, elektryk – mosiężny widelec, a gazownik – złota łyżkę. Te same sztucce, które dałem temu oto młodemu człowiekowi, Jankowi, którego nie należy nazywać durnym.

STARSZY BRAT: No to nieźleśmy się wkopali. Niech cię diabeł z tym twoim polem żyta...

ŚREDNI BRAT: Z ciebie też niezły menedżer...

KATARZYNA: Co zrobimy z tymi dwoma? I jak uhonorujemy Janka?

DYREKTOR: Tym dwóm mogę już teraz dać kopa, tym bardziej, że muszę odreagować poranne przejścia z koneserami strojów sportowych. (*wykopuje starszego i średniego brata poza zasięg*) Tobie zaś, Janek, ofiaruję – zgodnie z tradycją – rękę córki i pół etatu. Akurat brakuje mi w szkole wuefisty...

JANEK: Ale ja kończyłem filozofię, nie AWF.

DYREKTOR: To nic. Po przeczytaniu paru podręczników i konsultacji z kolegami nawet całkiem durny da sobie radę.

POŚWIATOWSKA JUBILEUSZOWA

Wiesław Wyszynski

W ostatnich dniach listopada 2006 roku odbyły się jubileuszowe XXX Ogólnopolskie Konfrontacje Poetyckie im. Haliny Poświatowskiej. Do konkursu zgłoszono ponad 2 tysiące wierszy 462 poetów.

Wiersze oceniało jury w składzie: Wojciech Kass – poeta i kustosz Muzeum K.I. Gałczyńskiego, Leszek Engelking – poeta i tłumacz oraz Krzysztof Kuczkowski – poeta, redaktor naczelny dwumiesięcznika literackiego „Topos”.

Jubileuszowe Konfrontacje były poetyckim świętem w regionie. Imprezy towarzyszące wyszły poza częstochowski Regionalny Ośrodek Kultury i odbywały się także w Kłobucku, Janowie, Blachowni i Mykanowie.

W roku jubileuszowym chcieliśmy ożywić imprezę, przenosząc niektóre spotkania autorskie, prezentacje i promocje książek do naszych ośrodków w terenie. Jest to niejako nawiązanie do pierwszych konkursów, które odbywały się zarówno w Kłobucku, jak i w Częstochowie. Zależało nam na nadaniu Konfrontacjom integrującego, zwłaszcza środowiska młodopoetyckiego regionu, charakteru - mówi dobry duch Konfrontacji, p. Anna Woźniak, od 15 lat zajmująca się stroną organizacyjną imprezy.

Uroczysty finał Konfrontacji miał miejsce w przepelnionej i dusznej sali kameralnej Teatru im. A. Mickiewicza. Prowadził go nowy dyrektor teatru, Robert Dorosławski. Gościem honorowym był brat Haliny Poświatowskiej, Zbigniew Myga, zasiadający po prawicy prezydenta miasta.

Wielu uczestników wyrażało żal, że z programu wypadł koncert Marii Peszek „Miasto mania”. Przyjęto to jednak ze zrozumieniem, z uwagi na żalobę po tragedii w kopalni „Halemba”.

Niewątpliwym wydarzeniem stał się spektakl pt. „Haśka”, napisany i wyreżyserowany, na te właśnie Konfrontacje, przez Mariana Florka. Przedstawienie - w zgodnej opinii publiczności – znakomite. Mówi się, że będzie ono powtórzone na deskach naszego teatru i sfilmowane dla potrzeb powstającego Muzeum Haliny Poświatowskiej.

W rolę Haliny Poświatowskiej wcieliła się Katarzyna Prudło, aktorka Teatru „Ateneum” w Katowicach. Uczyniła to wybornie i - według Zbigniewa Mygi - była nawet ładząco podobna do jego siostry... Małgorzaty. Dużo w tym spektaklu eroty-

zmu, podanego wszelako w sposób bardzo subtelny. Ze smakiem i wdziękiem. Słowa uznania należą się młodym tancerzom Teatru Tańca Włodzimierza Kucy. Piosenki Leonarda Cohena, w tłumaczeniu Macieja Zembatego, zaśpiewał Jacek Brzeszczyński a muzycznie opracował Rafał Smoleń – obaj panowie z Teatru Rozrywki w Chorzowie. Brawo!

Warto w tym miejscu wspomnieć o powstającym w Częstochowie Muzeum Haliny Poświatowskiej.



Brat poetki i przyszły kustosz muzeum, Zgniew Myga, nie ukrywał zdziwienia wobec dezinformacji, jakie ukazały się w lokalnych mediach, jakoby muzeum zostało już otwarte. W listopadzie świętowano jedynie zakończenie robót remontowo-budowlanych. Pan Myga widziałby oficjalne otwarcie muzeum w I kwartale 2007 roku lub (termin ostateczny) 9 maja - w rocznicę urodzin Haliny Poświatowskiej.

Pamiątki rodzinne i eksponaty przywiezione z Krakowa czekają, zabezpieczone przez dyrektora Muzeum Częstochowskiego, Janusza Jadczyka. Wiele zależy od środków na zawodową aranżację wnętrza rodzinnego domu poetki. W ogrodzie i otoczeniu domu od lat gościły, znakomicie wkomponowane, rzeźby Jerzego Kędziory. Gościły, ponieważ wobec braku zainteresowania władz miejskich w kwestii wypożyczenia lub zakupu, autor swoje rzeźby zabrał. Zbigniew Myga liczy jednak na zmianę decyzji artysty. Jest to o tyle ważne, że p. Myga ma interesującą wizję funkcjonowania muzeum. Zgromadzone eksponaty miałyby ożywić spotkania autorskie, warsztaty poetyckie, odczyty, teatr małych form etc. - zarówno we wnętrzach, jak i w ogrodzie. Przewiduje się urządzenie sali audiowizualnej. Nie trzeba dowodzić, jakie znaczenie dla kolejnych Konfrontacji będzie



Dzięki uprzejmości Państwa Mygów, prezentujemy niepublikowane dotychczas zdjęcia Haliny Poświatowskiej.



Halina Poświatowska z psem (ok. 1955-57)



Halina Poświatowska z siostrą
(ok. 1944-1945)

HISTORIA NAJNOWSZA

16 marca 1988 roku do częstochowskiego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych (WUSW) wpłynął wniosek zastępcy dyrektora Departamentu III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW), płk Leszka B(***) o wszczęcie sprawy obiektowej kryptonim „Zjazd”. Sprawa dotyczyła „Zjazdu byłych więźniów obozów hitlerowskich i byłych internowanych w latach 1981 – 1982”. Rzeczoną „Zjazd” miał się odbyć 9 kwietnia na Jasnej Górze, a częstochowska SB, zgodnie z poleceniem MSW, zajęła się jego „zabezpieczeniem operacyjno – fizycznym”.

„Zjazd” należał do imprez wysoce niepożądanych przez władze PRL, spodziewano się, że zakończy się potężną manifestacją o charakterze ogólnopolskim.

Sprawą zajął się bezpośrednio Wydział III częstochowskiej SB z ppłk Witoldem S(***) . Do współpracy zaangażowane zostały Wydziały V, II, VI, IV, „B”, „T” i „W”. Kapitan W(***) przeprowadził rozmowę ostrzegawczą z przeorem Jasnej Góry o. Rufinem Abramkiem, trzydziestu dziewięciu oficerów SB zabezpieczać miało wszystkie newralgiczne punkty w mieście, w tym głównie okolice klasztoru. O nastrojach, poczynaniach i ruchach częstochowskiej opozycji informować miało trzech tajnych współpracowników. W Wydziale III opracowany został 10-stronicowy, szczegółowy plan działań i zabezpieczeń, zatwierdzony przez zastępcę szefa WUSW w Częstochowie, płk Stanisława B(***) .

„Zjazd” okazał się ... ilościowym niewypałem. Na mszy św. W klasztorze obecnych było około 400 osób, z czego 150 stanowiło grupę byłych internowanych działaczy polskiej „Solidarności”. Pokazało się 16 transparentów, rozrzucono trochę ulotek, odbył się niewielki, nielegalny kolportaż. Częstochowskie podziemie reprezentowało siedmiu działaczy.

Po mszy św. Wszyscy jej uczestnicy przeszli wzdłuż Drogi Krzyżowej Wałami Jasnogóorskimi. Przy XIV Stacji ówczesny szef częstochowskiej opozycji, Aleksander Przygodziński, podziękował przyjaciółom z Polski za przybycie.

Impreza, która rzeczywiście łatwo mogła się przerodzić w ogromną manifestację, przeszła bez echa i to zarówno w Polsce, jak i w Częstochowie. Spośród czołowych działaczy krajowych przyjechali jedynie: Seweryn Jaworski, Zbigniew Romaszewski i Marian Jurczyk. W ten sposób spotkanie na Jasnej Górze stało się tylko kolejnym potwierdzeniem tego, o czym mówiło się już w kraju od kilku lat: działacze podziemia są coraz bardziej zmęczeni, działacze opozycji są zniechęceni, idea „długiego marszu” do wolności jest obca polskiej, rogatej duszy.

„Zjazd” byłby dzisiaj całkowicie zapomniany, gdyby nie raporty SB. I tak w Meldunku końcowym Nr 66/88 „sprawy obiektowej” czytamy zupełnie zdumiewające słowa: (...) *Działacz opozycyjny S. Jaworski podczas rozmów z liderami częstochowskiego podziemia bardzo krytycznie ocenił wkład opozycji częstochowskiej w organizację i przebieg pielgrzymki. Stwierdził, że na Jasnej Górze należałoby uruchomić stały punkt informacyjny, w którym działacze opozycji, przybywający z innych regionów, mogliby się zatrzymać, przygotować do imprez, porozmawiać, wymienić literaturę itp. Według*

opinii Jaworskiego Częstochowa ma od dawna wszelkie dane, aby stać się jednym z wiodących ośrodków opozycyjnych w kraju i tylko postawie miejscowych działaczy zawdzięczać może, że tak poważne imprezy jak zjazd internowanych nie mają żadnej oprawy.

Jakie więc było częstochowskie podziemie? Jaworski mylił się, czy miał rację oceniając miasto tak surowo?

Na te i inne pytania odpowie wkrótce książka poświęcona opozycji częstochowskiej w latach 1981 – 1989. Od dwóch lat gromadzeniem materiałów i opracowaniem edycji zajmuje się Maria Nowakowska – Majcher, dziennikarka i scenarzystka filmowa. (fon)



Rok 1988 - ulotki na ulicach Częstochowy

Zbislaw Janikowski

WYPRAWY

Podwórkowe zabawy mojego dzieciństwa u większości dzisiejszych rodziców spowodowałyby co najmniej rozstrój nerwowy. Mało kto może wyobrazić sobie sytuację, gdy kilku dziesięcio i dwunastolatków znika na kilka godzin z bezpiecznego podwórka. Właśnie podjęli jedną z licznych, wspaniałych i odkrywczych wypraw.

Jasnogórska Wieża kusiła zawsze swym ogromem, potęgą, tajemniczością. Była też powodem naszej dziecięcej dumy, wyróżnikiem stawiającym nasze miasto wyżej niż inne. Nie istniał przecież w Warszawie Pałac Kultury, maszt radiostacji w Raszynie - mimo że bardzo wysoki i upamiętniony na znaczkach pocztowych - był tylko masztem. Zresztą, na znaczku - na przedwojennej niebieskiej pięciogroszówce - była nie tylko wieża ale i cała Jasna Góra. Nie imponowały nam ani paryska wieża Eiffla, ani nowojorski Empire State Building, jakieś wymaginowane odległe stwory. Nasza wieża była najwspanialsza, najwyższa i już! Oddziaływała na dziecięcą wyobraźnię - budziła tęsknotę za czymś wielkim, nieznanym, godnym odkrycia i poznania.

Aurę tajemniczości podsycaly zasłyszane opowieści: o roztaczających się ze szczytu przepięknych widokach, mrozące krew w żyłach o samobójcach - szczególnie o spadającym, który nadział się na ostry czubek sygnaturki na Wielkim Kościele. Że nie było w tych opowieściach logiki, że były tanią sensacją niczym wiadomości z dzisiejszych tabloidów nikogo nie obchodziło, liczyła się sensacja i wywołana nią adrenalina. I opowieść, że dawniej, kiedy powietrze było naprawdę czyste, z wieży widać było szczyty ośnieżonych Tatr.

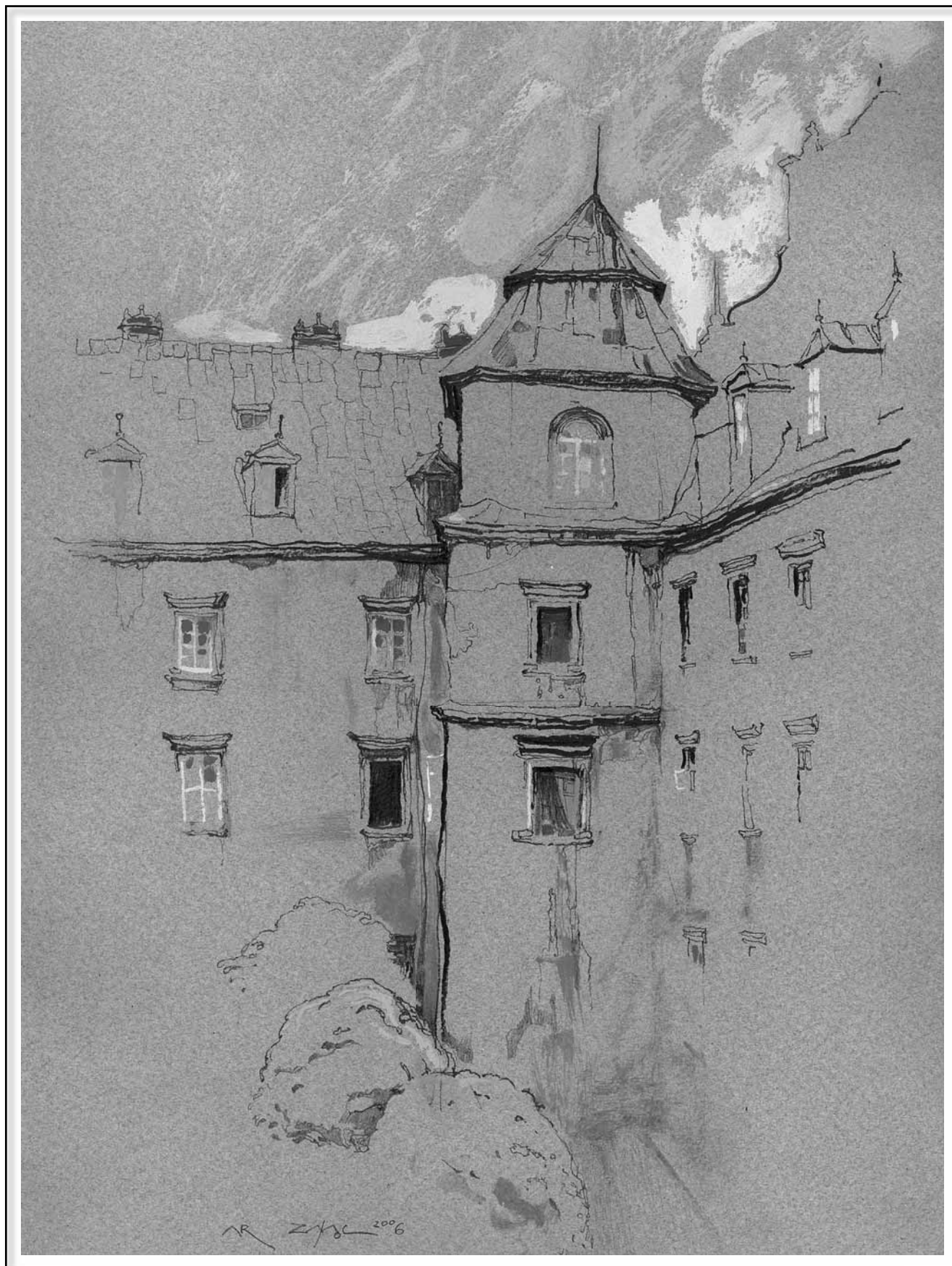
Taka to atmosfera powodowała nami, gdy porzucaliśmy najwspanialszą zabawę i gnali w kierunku jasnogórskiej, naszej Wieży. Trasa wiodła z ulicy Dąbrowskiego przez Jasnogórską, dalej obok kortów w parku 3-go Maja, przez jasnogórskie błonia, aż do małego wejścia zamykanego stalowymi drzwiami, wzmocnionymi nitowaną konstrukcją z płaskowników. Muszę tu przyznać, że niejedna z naszych wypraw po drodze zmieniała swój pierwotny cel przeznaczenia i utykała na przykład przy kortach, lub poletkach doświadczalnych Wystawy Przemysłowo - Rolniczej, gdzie też było cie-

kawie. Przy drzwiach wieży wybuchała dyskusja o tym, jak tędy wniesiono wielki wieżowy zegar, albo stojące na krużgankach ogromne rzeźby. Zawsze znalazł się jakiś starszy pan, który usiłował nas przekrzyczeć i przekonać co do nielogiczności naszych problemów, ale zapewniam, że nie słuchaliśmy go. My wiedzieliśmy swoje.

Wchodziliśmy do ciemnej, oświetlonej jedną anemiczną żarówką, niby sieni, by następnie wąskimi schodami dotrzeć na poziom, z którego prowadziły dalsze schody, na kolejne kondygnacje. Nasza grupka odróżniała się od innych i chyba dlatego siostry siedzące za stołem i pobierające symboliczne opłaty „co łaska”, zasypiały lub udawały, że nas nie widzą. Mieliśmy jednak ambicje, wypytywaliśmy o cenę biletu, czy są ulgowe, wreszcie po starannym zbiorowym przeszkaniu kieszeni zbieraliśmy jakąś niewielką kwotę, aby uiścić choć trochę. Jeden Mietek zawsze coś pochachmęcił i w powrotnej drodze do domu niczym sztukmistrz wyciągał z kieszeni cudem odnalezioną złotówkę. Tymczasem pokonywaliśmy schody, starannie obchodziliśmy dobrze już znane z poprzednich wypraw krużganki, z których wypatrywaliśmy co znaczących miejskich obiektów. Czym wyżej, tym piękniejsze widoki roztaczały się przed nami; ludzie widziani z góry zmniejszali się z każdą chwilą, by z samego szczytu wyglądać jak kręcące się mrówki. Na wysokości mechanizmów zegara, oczekiwaliśmy na wydzwaniające kuranty, oceniali ciężar zwieszających się na łańcuchach obciążników i oczywiście zawzięcie dyskutowaliśmy nad tym, co by się stało, gdyby się urwały i spadły. Wreszcie kulminacja, najwyższy poziom, wyżej już tylko zawieszona lampa, która nocą lśniła zielonym światłem, a nad nią na wysmukłej iglicy złocisty kruk z chlebem w dziobie (a może troszeczkę się mylę). Żadnych czerwonych ostrzegawczych świateł, samoloty przecież po nocy nie latały. Tu też wiedliśmy zaciekle spory: kto wchodzi, by zaświecić lampę, kto wspina się i po co po stalowej drabince przytwierdzonej do iglicy i - najważniejsze - ile metrów ma Wieża do miejsca, gdzie stoimy a ile do najwyższego punktu. Oczywiście, za każdym razem odbywało się liczenie schodów, nie trzeba chyba dodawać, że każdy uzyskiwał inny wynik

Oglądanie wspaniałej miejskiej panoramy narażać jednak trochę trudności. Balustrady otaczające krużganki sięgały naszych bród, a mały Mietek wyglądał tylko przez otwory w kamiennych lub metalowych barierach. Na wszystko jednak jest sposób, można było podciągnąć się i wspartym na łokciach, mimo niewygody, patrzeć i potrzeb. Na wschodzie dymiące kominy huty i innych fa-

SENTYMENTY



Arkadiusz Zajac - Silentium II

bryk, w oddali zamek olsztyński, Sokole Góry, złociste ściany kamieniołomów na Złotej Górze, lasy, szachownice pól, przełom warty w Mirowie. Szosa warszawska, linia kolejowa, a bliżej stacja, dymiące parowozy, na bocznicach sznury wagonów, ruch. I jeszcze znane kościoły: św. Jakuba, św. Zygmunta, katedra, poczta, smukła linia Alei obsadzonej zgrabnymi drzewami z potężnym kominem elektrowni w tle. Patrzyliśmy na to jak urzeczeni, by nasyciwszy się widokiem, zmienić stronę świata. Ulica Św. Barbary, okrągła wieża kościoła, stacja kolejowa na Stradomiu, dalej kopalniane hałdy... Zachodnia i północna strona, to głównie pola, tafle wody „Bałtyku” i „Adriatyku”, uprawne jasnogórskie pola, białe kamienne drogi do Kłobucka, do Białej, Kiedrzyń, nieliczna niska zabudowa Parkitki i Częstochówki, szary wąż budynków - dawne koszary Zawady. Emocje wywoływały domy, w których mieszkaliśmy, nasza szkoła, a nawet znajome drzewa.

Z czasem odkryliśmy frapującą lekturę wyskrobaną ostrzami scyzoryków w kamiennych płytach parapetów poszczególnych kondygnacji. Dzieła te powstawały mimo licznych zakazów i wymagały nie lada kunsztu i cierpliwości. Wycięcie nawet w miękkim piaskowcu, wielkiego, przebitego strzałą serca z inicjałami ukochanej, opatrzonego dodatkowo dokładną datą i inicjałami twórcy - mimo że niedozwolone - miało na wieki świadczyć o jego wielkiej miłości. Znajdowały się tam też wpisy zbiorowe, dokładne adresy, przedwojenne daty, jakże już wtedy odległe, a nawet anonse o poszukiwanych, zagubionych w wojennej zawierusze.

Syci wrażeń, w szaleńczym pędzie pokonywaliśmy około pięciuset schodów, wyhamowując jedynie w okolicach pilnujących wejścia sióstr.

Jeszcze na dziedzińcu klasztornym dyskusja w miejscu gdzie kolorowa kamienna gwiazda z kamiennych płyt nawierzchni wskazywała miejsce upadku spalonej poprzedniczki naszej Wieży. Potem już tylko powolny powrót, jeszcze tylko krótki postój w parku, gdzie na wysokości kortów tenisowych rosła niebotyczna gruszka „pierziołka”, a jej owoce stawały się łupem os i takich jak my chłopców.

Wały. Wypraw na Wieżę nigdy nie łączyliśmy z łągą po jasnogórskich wałach. Przeważnie zaczynała się wtedy, gdy przechodziliśmy zbyt późno i nasza Wieża była już zamknięta. Nie zważając na ludzi, gnaliśmy na wyścigi po szerokich tarasowych schodach do pierwszej stacji Drogi Krzyżowej. Kładło się na brzuchu na parapecie muru, skąd był wspaniały widok na klasztorne ogrody. Operacją tę powtarzaliśmy przy każdej kolejnej stacji, oczywiście i tu toczyliśmy dyskusje, iluż to chłopów mu-

siało dźwigać ogromne głązy stanowiące podstawy poszczególnych monumentów. Po pustych ogrodach przechadzali się czasami biali zakonnicy, częściej widziało się żyjące tu na swobodzie dorosłe sarny, jelonka i młode sarniątka o prążkowanych czarno-brunatno-białych grzbietach. Z innego zakątka dobiegał przeraźliwy wrzask pawi a „zakochany” kogut dumnie i zalotnie rozpościerał swój bajecznie kolorowy ogon. Pagórki, gaiki, wąwóz nad którym przerzucony był brzoźowy mostek w balustradzie którego bieląło brzoźowa Maryja, wszystko to kuśiło. Ileż to razy deliberowaliśmy nad sposobem pokonania niedostępnych ogrodzeń i murów, by dostać się do tych ogrodów. Legalnej drogi - prośby - nie braliśmy w rachubę.

Niemniej ciekawe od ogrodów były wewnętrzne gospodarcze budynki i podwórza widoczne z górnego poziomu wałów. Wozy, narzędzia rolnicze, ostry zapach chlewni i kwik świnek w czasie wieczornej „kolacji”, wieczny gospodarczy ruch i krzątanie. Odchodząca epoka samowystarczalności klasztoru, zanikający zwyczaj pustelniczego, odciętego od zewnętrznego świata - eremu.

W ciszy i skupieniu przemykaliśmy u podnóża „Szczytu”, kamiennymi zakamarkami, schodkami wpadaliśmy na pasaż nad Wieczernikiem, biegliśmy na wzgórek gdzie pomnik Ojca Kordeckiego. Znowu zażarty spór o to, ileż może ważyć szwedzka kula armatnia tkwiąca w murze bazyliki.

Wszędzie na wałach, tak jak i na wieży wydrapane w kamiennych parapetach pamiątkowe zapisy. Sam też próbowałem kilkakrotnie, przekonałem się jednak szybko, że to zajęcie nie dla mnie, zbyt monotonne, zbyt pracochłonne, a i efekt wątpliwy. Ileż to razy słyszałem rozmowę „poszukamy, tu gdzie wyrylem swoje inicjały”. Nigdy jednak nie widziałem szczęśliwca, który by je odnalazł.

Znowu tarasowate schody, tylko z przeciwnej strony i w dół, znowu cztery bramy prowadzące na okrągły dziedziniec z herbem - palmą, dwoma lwami i krukiem.

Co kilka kroków mijaliśmy żebraków, popularnych częstochowskich „dziadów”. Prezentowali wszystkie możliwe odmiany swego fachu, od popularnej „proszalnej baby” okutanej po sam czubek głowy szaro-burymi chustami, najczęściej też w szaro-burą kratę, przez przeróżne kaleki, obnażające swe niezbyt estetyczne kikuty rąk i nóg, aż po „inwalidów wojennych”, stojących na jednej nodze - druga zazwyczaj sprytnie podwiązana i ukryta w szerokiej nogawce noszonych wtedy „pumpów” (dla niedouczonej w tej materii: były to spodnie męskie, spięte poniżej kolana i zawadiacko wyłożone do połowy łydki, pozwalające zachwycać się pięknem męskich łydek). Grozę, współczucie

SENTYMENTY

a zrazem odrazę budził niezmiennie, wsadzony do drewnianej skrzynki na kółkach, strzęp człowieka, kadłub bez rąk i nóg umocowany przez „opiekunów” w swym kojcu i grający na organkach zainstalowanych na wysokości ust.

Na temat żebraków i ich profesji wiedliśmy też długie dyskusje, oceniając wysokość ich zarobków, posiadanych przez nich majątków, organizowanych wystawnych uczt i libacji. Ze słyszenia wiedzieliśmy o obowiązującej w tym świecie hierarchii, swarach, bójkach i kłótniach. Wszystko razem rozpałało wyobraźnię i ciekawość. Do kłasyki należała opowieść o zmarłej w skrajnej nędzy żebracze, w której sienniku odnaleziono nie tylko miliony złotych, ale i stare carskie ruble. (i znowu dla niewtajemniczonych: siennik, to wór ze zgrzebnego lub workowatego płótna, wypełniony słomą, służył do spania, był zarazem podręcznym w miarę bezpiecznym sejfem; rubel obowiązująca w rosyjskim zaborze waluta, bardzo mocna i bardzo stabilna, póki nie dała jej rady władza radziecka). Na wszelki wypadek, żebraków okrążaliśmy szerokim łukiem, a że siedzieli wszędzie, droga nasza była wyjątkowo kręta i długa. Zmęczeni i syci wrażeń ruszaliśmy wreszcie w kierunku domu. W kierunku, bo nim dotarliśmy, z reguły wydarzyło się jeszcze niejedno.

Korty. Położone w Parku 3-go Maja, tam gdzie dziś, przy jakże wtedy wąskiej i spokojnej ulicy Lublinieckiej, a może już Ochotników Wojennych (później nosiła ona jeszcze imię Starucha, by obecnie zmienić się w ul. ks. Popiełuszki). Wchodziło się w alejkę biegnącą tuż obok siatki oddzielającej korty od reszty parku. Zaraz przy ulicy był parterowy pawilon, dumna siedziba klubu „Victoria”. Obok drewniana trybunka, z której szczytu widok na kort i graczy byłby wspaniały, gdyby nie świecące w oczy słońce. Słońce wprawdzie kiedyś zachodziło, ale wtedy zapadały szybko ciemności i gracze rozchodzili się do domów.

Stałymi bywalcami i gośćmi okupującymi miejsca przy korcie były panie i panowie przyodziani w stosowne śnieżnobiałe stroje tenisowe. Panie w krótkich plisowanych spódniczkach, które nie kryły opalonych nóg sportsmenek. Panowie w szortach; białe wełniane pulowery, skarpety, tenisówki (czyli popularne pepegi). Jeszcze tylko biała furażerka lub cyklistówka i nasz modelowy tenisista mógł zadawać szpanu. Patrzyliśmy na nich jak urzeczeni, aż wreszcie padała propozycja: chłopcy, czy zechcielibyście podawać nam piłki? Cóż to było za wyróżnienie! Niemal nobilitacja, na jedno miejsce było nas zawsze co najmniej dwóch. Ci, którzy się nie załapali, mogli jeszcze pomagać przy

odświeżaniu linii, co było zajęciem wysoce odpowiedzialnym i wcale nie lekkim. Taszczyło się (we dwóch) długi, zrobiony z dosyć szerokich listew, kilkumetrowy wzornik, przykładało starannie do ledwo widocznych dawnych linii, po czym białą mieloną kredą wysypywało odpowiedniej szerokości linie. Praca wymagała nie lada kunsztu, wręcz precyzji, od niej zależały bowiem wyniki toczonych na korcie pojedynków (piłki autowe!)

Czyhały na nas też przeróżne niebezpieczeństwa, poczynając od kompletnego zderzenia własnych trampków lub tenisówek, przez skręcenie nogi, udar słoneczny, skrajne wyczerpanie i Bóg wie co jeszcze! Wypadek, jaki przydarzył się moim kolegom podającym piłki, pod znakiem zapytania postawił opłacalność dalszego angażowania się w to zajęcie. Nieszczęśnicy wystartowali z dwóch stron kortu do leżącej na środku piłki i w pełnym pędzie „ztrysnęli” (tak się wtedy mówiło) głowami. Troskliwe panie zajęły się poturbowanymi ofiarami tenisa, chyba nawet ofiarowały lody, ale guzy jakie sobie nawzajem nabili, długo przypominały popołudniową wyprawę na kort. Nasze zaangażowanie było wysoko oceniane. W nagrodę dostawaliśmy do potrzymania na kilka minut prawdziwą rakieta, ba nawet na ostatnim, najgorszym korcie mogliśmy poodbijać piłki dopóki towarzystwo się nie rozeszło. Wpuszczano nas też bez biletów na mecze, a zdarzało się, że na nasze korty trafiali ówczesni mistrzowie – Skonecki i Piontek, bożyszczą całej sportowej Polski. Na „Victorii” gościła też gwiazda nad gwiazdami - sama Jadwiga Jędrzejewska. Stałem w kąciku, przyglądałem się jej i jej grze. Egzemplarz wydanych po latach pamiętników noszący tytuł „Urodziłam się na korcie” był wielokrotnie czytana lekturą i do dziś stoi na jednej z zapomnianych już półek.

Wspaniałym miejscem obserwacyjnym było stanowisko sędziego, wysokie krzeselko, na które trzeba się było wspinać po metalowej drabince. Ileż ono dawało satysfakcji, jak ważnym można było być oznajmiając „piętnaście – czterdzieści dla Marka”.

Marzyliśmy o sportowych karierach tenisistów, jednak zwykle niezbyt długo, najwyżej do kolejnej wielkiej imprezy – Wyścigu Pokoju. Wtedy idolami stawali się Wilczewski, Królak, czy Francuz polskiego pochodzenia jadący w barwach Polonii Francuskiej (taka drużyna wtedy startowała) - Klabiński.

Ale o Wyścigu Pokoju i o wyprawach na oglądanie przejazdu kolarzy już innym razem.

Zbislav Janikowski

Ciemno, ciemno

Najnowsza premiera częstochowskiego teatru podzieliła publiczność. Część widzów odebrała sztukę „Ciemno” Marka Rębacza bardzo serio, jakby zapominając, że była ona awizowana jako farsa (i horror).

Nie jest to zapewne arcydzieło, ale polecamy tę inscenizację (reż. Autora) Szanownej Publiczności, szczególnie tym wszystkim, co nie widzieli wersji telewizyjnej (w reż. Janusza Majewskiego).

Ubawią Was aktorskie kreacje, przede wszystkim Krzysztofa Kiersznowskiego (gościnnie) i Waldemara Cudzika. Nie trafiliśmy na zapowiadany występ Witolda Pyrkosza (ponoć zachorował); oglądaliśmy więc Michała Kulę, który w trybie alarmowym nauczył się roli. Trochę szarżował, ale jak pięknie!



Fot. Piot Dłubak

Charytatywnie

5 stycznia 2007 r. w Filharmonii Częstochowskiej, z inicjatywy Wydziału Duszpasterstwa Społeczno-Zawodowego Kurii Metropolitalnej, odbył się wielki charytatywny koncert z udziałem Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, pod tytułem „Narodziła nam się Dobroć”. Repertuar stanowiły kolędy, pastorałki, tańce ludowe i góralskie gawędy. Dochód z koncertu przeznaczony został na wypoczynek zimowy i letni dzieci i młodzieży z biednych rodzin.

Widzów powitał ks. Jarosław Sroka, *spiritus movens* przedsięwzięcia, który po kilku słowach wstępu zaprosił na scenę przewodniczącego Unii Laikatu Katolickiego, Józefa Błaszczycia, aby ten dokonał wręczenia „prestizowych” statuetek, za „otwartość serca i wrażliwość na potrzeby innych ludzi”, przyznanych osobom i instytucjom, wspierającym działania na rzecz potrzebujących dzieci.

Pierwszym nagrodzonym okazał się ks. Marian Duda, twórca Unii Laikatu Katolickiego, orędownik dialogu katolików świeckich z Kościołem, drugim... prezydent Tadeusz Wrona. Przy

tej okazji uczestniczy koncertu mogli usłyszeć, że jest on „twórcą” wszystkich domów opieki i pomocy społecznej w naszym mieście oraz wytrwałym pionierem znoszenia wszelkich barier dla niepełnosprawnych.

Reszta dużej ilości statuetek została rozdysponowana między właścicieli prywatnych firm, mających otwarte serce dla biednych dzieci, i o ile nagroda dla nich jest uzasadniona, to bardzo dziwi wśród wyróżnionych dyrektor Towarzystwa Budownictwa Społecznego. Bo jakże TBS, będące instytucją publiczną, może działać charytatywnie?

Nagród ci u nas ostatnio dostatek, a im mniejsza, tym bardziej „prestizowa”, by choć tym magicznym słowem dodać rangi wyróżnieniu. Wypełniona do ostatniego miejsca sala Filharmonii nadała imprezie „rangi” ilościowej, a występ Zespołu „Śląsk” rangi prawdziwie artystycznej.

„Śląsk” od lat robi nieodmiennie imponujące wrażenie. Zachwyca scenograficznie, niepowtarzalnymi, barwnymi kostiumami i bogactwem ich wzorów.

Imponuje śpiewem, mistrzowsko emisyjnie poprowadzonych głosów, w utworach aranżacji twórcy Zespołu, Stanisława Hadyny. Nieco gorzej wprawdzie wypada tanecznie, gubiąc linię prostą w każdym układzie, za co brakiem staranności odpowiada choreograf Elwira Kamińska. Tancerze wypadają znacznie lepiej niż tańczące panie, wzbudzając zachwyt i spontaniczny aplauz wiązką tańców góralskich, w których gibkość, zręczność i siła fizyczna stanowi podstawę scenicznego triumfu. Dwuczęściowy program przyjęty został huraganem braw, budząc salę do owacji na stojąco, a zespół przekupując do bisów.

Dla gości koncertu było to nie tylko święto wspomaganych dzieci, ale nade wszystko radość z uczestniczenia w występie artystów najwyższej próby, w repertuarze bliskim sercu.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że na koncert przyjechały osoby niepełnosprawne, na wózkach inwalidzkich. Trzeba je było najpierw wnieść z wózkiem na salę, a potem znieść.

Otwarty stosunek do biednych i znoszenie barier dla niepełnosprawnych pozostawia cokolwiek do życzenia.

J. Grochowska

Zagrał Blechacz

Na scenie filharmonii wystąpił Rafał Blechacz, laureat Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, co odnotowujemy z wielką radością. Tym większą, że młody artysta bardzo chwalił nasz nowy fortepian.



Fot. Zbigniew Burda

Ci odlatują, ci zostają...

Z ratusza zniknęła wystawa „Gabinet dra. Władysława Biegańskiego”. Ekspozyty i meble zostały zwrócone właścicielowi - Głównej Bibliotece Lekarskiej w Warszawie.

Chyba przedwcześnie. W bieżącym roku przypadają przecież ważne rocznice: urodzin (1857) i śmierci (1917) tego znanego w całej Polsce obywatela naszej metropolii - wybitnego lekarza, logika, filozofa i działacza społecznego.

Dobrze, że w styczniu prezydent Częstochowy ogłosił rok 2007 Rokiem Doktora Władysława Biegańskiego.

Nasi w Krakowie

W Nowohuckim Centrum Kultury swoje prace plastyczne wystawiali wykładowcy częstochowskiej Akademii im. Jana Długosza. Na dużych płótnach Jarosława Kweclicha sfragmentaryzowane postacie wypływają ze srebrnego czy złotego tła, wyłaniają się przed patrzącym niczym ulotne twory ulotnej sztuki teatru, niedopracowaniem odchodzą w przeszłość rodzinne kompozycje zanim na prawdę powstały. Szafirowy relief Jacka Łydzby z aniołków i uskrzydłonymi trupimi główkami niepokojem napełnił sterylnie białe wnętrza sali wystawowej. Kontrastem dla niego były płynne postacie na turkusowej mozaice prac Eugeniusza Józefowskiego. Barwy ciepłe i nasycone zdominowały płótna Bartosza Frączka. Kobieta rozmyślająca o zamkniętym przed chwilą albumie Picassa w tonacji różowo-niebieskiej, para królewska przy arabeskowym stole, kobieta w zielonym gąszczu przy huśtawce, dżungla zespolonych roślin i barwnych płaszczyczyn. Odmianą propozycją były biało-czarne fotografie Jerzego Piwowarskiego. Cykl różnych dłoni opierających się o poręcz tego samego drewnianego krzesła w całej gamie niezwykle zindywidualizowanych gestów.

B.A. Symolon

„Z Częstochową w tle” – konkurs rozstrzygnięty

Konkurs na opowiadanie dla młodzieży szkół ponadgimnazjalnych zorganizowały wspólnymi siłami Filia nr 1 oraz Filia nr 9 Biblioteki Publicznej im. dra. Władysława Biegańskiego, przy udziale pisma „Aleje 3”. Tematyka prac była dowolna, ale musiały one zawierać czytelne elementy lub motywy związane z Częstochową.

W wyznaczonym przez regulamin konkursu terminie (do 15 grudnia 2006 r.) wpłynęło 16 opowiadań.

Jury w składzie: Marian P. Rawinis (pisarz, dziennikarz, red. pisma „Aleje 3”), Gustaw Gracki (wybitny polonista), Anna Woźnicka (bibliotekarka), Ilona Kowalska (bibliotekarka, polonistka), Piotr Nita (prozaik, członek grupy literackiej Blee) oraz Agnieszka Batorok (bibliotekarka, dziennikarka, sekretarz jury), po naradzie i podliczeniu punktów postanowiło przyznać następujące nagrody: **I Nagroda** - Michał Flak – (godło „Michał”), uczeń kl. III Zespołu Szkół im. Bolesława Prusa - za opowiadanie „Z ludzi ptaków wyrosły sępy”. **II Nagroda** - Jakub Kasperkiewicz - (godło „Jakub”), uczeń kl. III, (LO im. J. Słowackiego) - za opowiadanie „Bez tytułu”. **III Nagroda** - Laura Dusik - (godło „Laurson”), uczennica kl. III (LO im. M. Kopernika) - za opowiadanie „Pomóż”.

Przyznano także wyróżnienia, które otrzymali: Kamil Bloch - (godło „Kamil”), uczeń kl. II (LO im. R. Traugutta) - za opowiadanie „Kiedy bogowie odchodzą...” Maciej Gaik - (godło „Maciej”), uczeń kl. II LO im. A. Mickiewicza za opowiadanie „Tchórze”.

Nagrodzone utwory zostaną opublikowane w Dwumiesięczniku Kulturalnym Częstochowy „Aleje 3”.

Malarstwo jak życie

Filia nr 8 Biblioteki Publicznej przy ul. Księżycowej nie przestaje zaskakiwać dobrymi pomysłami. Niedawno mieliśmy możliwość oglądania wystawy malarstwa Michała Walczaka.



Fot. Zbigniew Burda

Michał Walczak kończy studia na Wydziale Artystycznego AJD w Częstochowie. Jak mówi, inspiracją są dla niego „życie, to co się dzieje na ulicy, infracje, jakie niesie ze sobą natura”. Warto dodać, że poza malarstwem interesuje się także poezją i muzyką oraz startuje (z sukcesami) w zawodach pływackich dla niepełnosprawnych.

Balustrada

Ze śródmieścia Częstochowy zniknął jeden z najbrzydszych elementów naszego miasta – paskudztwo udające balustradę na moście kolejowym w I Alei NMP. Powstała - przy udziale współpracownika naszego pisma, Władysława Ratusińskiego – nowa ozdoba Częstochowy. Tak trzymać!



Fot. Zbigniew Burda

Listy i wyjaśnienia

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z wypowiedzią na temat książki *Z częstochowskiej ziemi na „literacki Parnas”* - antologii wierszy Sebyły, Lieberta, Poświatowskiej i Marjańskiej, opatrzonej moim wstępem pragnę wyjaśnić, że tytuł książki pochodzi ode mnie, a nie od wydawcy (Muzeum Częstochowskie). Słowa „literacki Parnas” ujęte zostały w cudzysłów, ponieważ pochodzą od innego autora, co wyjaśniam we wstępie. Jestem zdania, że wypowiedź zaczerpnięta z innej pracy tak należy potraktować. We wstępie wyjaśniam, że twórcze dokonania poetów urodzonych w Częstochowie i okolicy zapewniły im miejsce na literackim Parnasie. Mam nadzieję, że zamieszczone w antologii teksty poetyckie w pełni to zamierzenie uzasadniają. Chciałabym też zaznaczyć, że pracownicy wydawnictwa dołożyli wszelkich starań, aby dokonania częstochowskich poetów w pełni uhonorować.

Elżbieta Hurnikowa

WOREK CZĘSTOCHOWSKI

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podżdama

Refleksje powyborcze

Ostatnie miesiące minęły nam pod znakiem wyborów samorządowych. Należałoby się spodziewać, że tak istotna kwestia społeczna nie zostanie niezauważona przez ludzi kultury. Niestety, żaden ze znanych pisarzy, poetów, malarzy, rzeźbiarzy czy muzyków naszego miasta, żaden z członków zespołu teatralnego, nie mówiąc już o sługach pomniejszych Muz, nie kandydował na prezydenta miasta ani radnego. Spotkany przez naszego współpracownika w barze „Wacław” przedstawiciel środowisk artystycznych wyraził się niechętnie o wyborach. – Eee, zwracanie głowy. Co to za wybory, jak nawet Komitet Budowy Toru Formuły 1 nie startował... - machnął ręką jazzman Zachariasz Dziecioł. Może za cztery lata nasi twórcy nabiorą większej odwagi.

W poszukiwaniu patronów

Jerzy Kędziora w ostatnim czasie wyrzeźbił dla Złotego Potoku dziewczynę z konwiami, do której ma zostać dorobiona legenda. Jak pamiętamy, jeden z najlepiej rozpoznawalnych rzeźbiarzy częstochowskich kilka lat temu pracował nad pomnikiem Częstocha, do którego też miała zostać dorobiona legenda. Czyżby tzw. „baba z pustymi wiadrami” miała zwiastować dalsze części projektu „patroni i legendy”? Konopiska, Janów, Brzeźnica, Mykanów, Kruszyna i Blachownia już ustawiają się w kolejce. W razie, gdyby pan Jerzy Kędziora nie zdecydował się jednak na rzeźbienie kolejnych postaci potencjalnie legendarnych, sugerujemy samorządowcom w zamian zakup kilku Bolesławów Wstydliwych, którzy zostali odrzuceni przez Kraków i nie staną na Małym Rynku. W ten sposób gminy naszego regionu zadzierzną więź z rzeźbiarzami Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa, czego skutkiem może być całkiem owocna współpraca.

Z Częstochowy do Iraku na wielkim ekranie

Prawie 70 studentów Politechniki i AJD weźmie udział w nowym filmie Bogdana Kropiatki pod roboczym tytułem „Leszek z Arabii”, do którego zdjęcia rozpoczęły się już na Pustyni Błędownskiej. Jest to historia oficera armii Andersa, częstochowianina, który zostaje w Iraku i bierze udział w antybrytyjskim powstaniu Gajlaniego. Scenariusz przedstawia przykład skomplikowanych losów częstochowian w świecie – zdrada reżyser. – W razie, gdyby nagle spadł śnieg, będziemy kręcić z żółtym filtrem. Jedną z głównych ról w jego najnowszym filmie ma zagrać Tarik Musa, lekarz psychiatra z Kłobucka.

Kirgiski łącznik

Na spotkaniu autorskim przy ulicy Iglastej Jacek Cyprian Zajątz opowiadał o swym półrocznym pobycie w Kirgizji. Zainteresowani mogli skosztować najprawdziwszego kumysu. Podstawowym celem wizyty J.C. Zajątz było spotkanie „na neutralnym gruncie” z kontrowersyjnym pisarzem rosyjskim Judą Lubaszkinem. Doszło do porozumienia w sprawie przetłumaczenia na polski jego trylogii o sierż. Żaworonkowie z leningradzkiej izby wytrzeźwień: „Przypadki Grzegora Radżputina”, „Burlacy znad Indygirki” oraz „Kozacy kubańscy i salvadorscy”. Jak tylko Lubaszkin napisze ten trzeci tom, od razu dostanę go do przekładu – chwali się Zajątz.

Nowe kursy

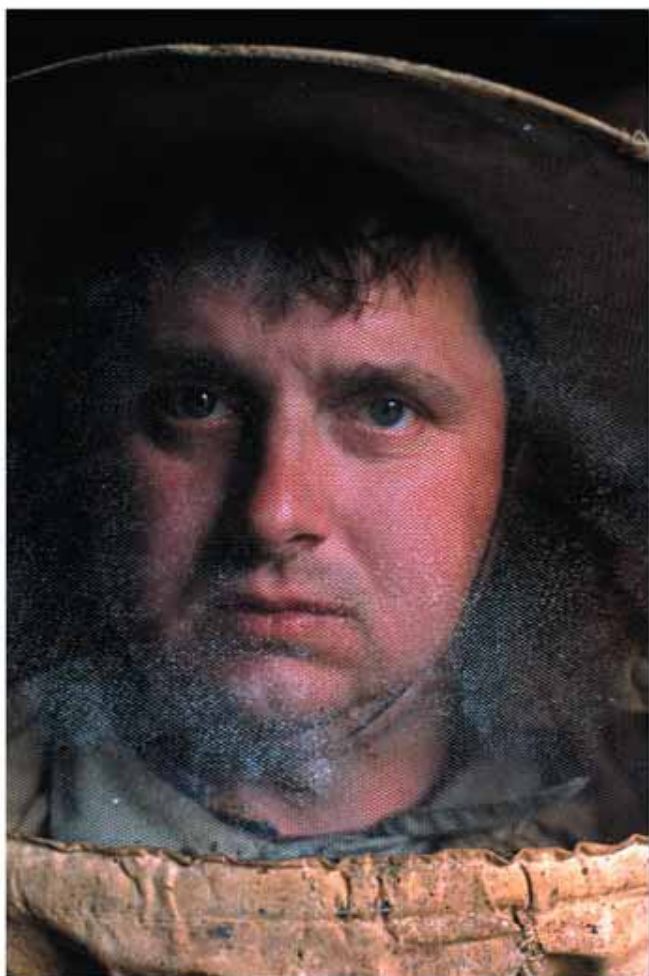
Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 rozpoczyna od 2007 roku kursy dla młodych artystów. Na pierwszym spotkaniu, które odbędzie się 13 lutego, dr Henryk Tejerfisz (Instytut Sztuki AJD) poprowadzi zajęcia z rzeźbienia w mrożonym piwie.

POCIĄG DO SZTUKI

Trwa odbudowa Konduktorowni przy dworcu Częstochowa Osobowa. Budynek ten ma się stać siedzibą Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Nie wiadomo na razie, czy bilety na imprezy kulturalne organizowane przez członków Towarzystwa trzeba będzie w przyszłości kupować w kasach dworcowych (w tym niewątpliwie osiągnięcie polskiej myśli kolejowej, jakim są bilety emeryckie za 0 złotych). Bardzo pożyteczne byłoby za to po Konduktorowni postarać się też o Lokomotywnię, a za jej płotem postawić jakiś pociąg. Dzięki niemu można by eksportować kulturę częstochowską poza nasze miasto, choćby i do stacji Chorzew-Siemkowice.

SIŁA W RÓŻNORODNOŚCI

Dyrekcja Teatru im. Adama Mickiewicza nie ma łatwego zadania. Poprzednia została zwolniona za nadmierne eksperymentowanie, a jeszcze poprzednia – za zbyt tradycjonalizm. Jednak prognozy wydają się pozytywne. Po początkowej serii przedstawień konwencjonalnych przyjdzie czas na coś niezwykłego dla wszystkich zwolenników awangardy. Nasz człowiek w teatrze zapowiada, że Leszek Kertesz, reżyser z Teatru Technicznego w Tczewie, zamierza u nas wystawić „Poradnik hodowcy królików”. Inscenizacja jest okryta tajemnicą. Na razie możemy się tylko domyślać, kto z częstochowskich aktorów zagra główne postacie: Olbrzymia Belgijskiego, Angorę i Czarnego Podpalanego.



Jacenty Dędek – fotoreporter. Uprawia fotografię reportażową i portretową. Łączy w zdjęciach spojrzenie dokumentalisty z nastrojowością i nutą liryczną. Laureat konkursu Polska Fotografia Prasowa 1998 za fotoreportaż „Świat w zasięgu ręki”, I i III Jurajskiego Salonu Fotografii, podwójny laureat IV edycji konkursu „Newsreportaż 2005” tygodnika „Newsweek” – I miejsce w kategorii „Życie codzienne” (cykl „Chorzy na Alzheimer’a i ich opiekunowie”) oraz wyróżnienia za cykl „Auschwitz Birkenau – 60 lat później”. Autor wystaw indywidualnych „Dzieci Częstochowy”, „Poza szlakiem”. Jeden z autorów wielkoformatowej wystawy fotografii National Geographic pt. „Ostatnie takie miejsce na ziemi” (2006). Jego prace znalazły się w wydawnictwach albumowych: „Częstochowa dla każdego” (1999), „Wielka woda”, „Częstochowa. Dzieje miasta i Klasztoru Jasnogórskiego” (2003), „Tomasz Sętowski. Muzeum Wyobraźni” (2003), „Polska 2003” – wyd. specjalne magazynu National Geographic, „Nowa Europa” – wyd. specjalne „National Geographic” Polska (2004)

Zdjęcie z reportażu o pszczelarzach w Polsce, opublikowane w magazynie National Geographic Polska

Na okładce: Fotografia z fotoeseju "Poza szlakiem"



Niepublikowane zdjęcie z reportażu o Sudetach realizowanego na zlecenie magazynu National Geographic Polska

